rok 1 Warszawa, dnia 1 sierpnia 1932 r. nr. 9

Z sztuka kultura

9 sprawy społeczne

zet cena 50 gr. dwutygodnik

POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

Jedyna droga

Ku dwu zasadniczym celom i ideałom zmierzał dotychczas cały system społeczno - polityczny nowożytnej Europy: 1) potęga militarna, 2) dobrobyt gospodarczy. W tym kierunku rozwijał się i udoskonalał mechanizm świata, dawniej spontanicznie, a od czasu rewolucji francuskiej celowo i systematycznie. Cele te zostały osiągnięte przed wojną światową w dużej mierze. Powszechny obowiązek służby wojskowej doprowadził pogotowie zbrojne mocarstw do niewidzianych przedtem rozmiarów; utrzymywano na stopie pokojowej olbrzymie armje, z których każda dorównywała niemal liczbą Wielkiej Armji Bonapartego, idącej na Moskwę. W dziedzinie gospodarczej zawrotny rozwój przemysłu i handlu przyzwyczaił nas do cyfr astronomicznych. Postępy w kapitalizacji, technice, zagospodarowaniu krajów, w kulturze rolniczej i przemysłowej, w systemie bankowym, po wojnie zaś w racjonalizacji pracy — były zadziwiające.

Ten rozrost doprowadził wreszcie do tak całkowitego podziału wpływów, oraz do takiego ciśnienia konkurencyjnego, że dziś jest już niezmiernie trudno znaleźć miejsce dla nowej ekspansji gospodarczej, rynki zbytu dla nowej produkcji. Każda wyrastająca konkurencja duszona jest bezlitośnie. W dodatku państwa zamykają się murami celnemi, które przeskoczyć może tylko przemysł bardzo bogaty i obficie premjowany. Sytuacja jest dziś taka, jak w wojnie okopowej na froncie francuskim, gdzie każdy metr zdobytego terenu kosztował olbrzymie straty w ludziach i w materjale wojennym.

W tej walce sił, napiętych do ostateczności, rozstrzygającym czynnikiem są pomyślne warunki naturalne i stopień zasobności już zdobytej, który jest fundamentem i punktem wyjścia dalszego rozwoju. O potędze wojskowej decyduje ilość i stopień cywilizacyjny ludności, samowystarczalność i potencjalność przemysłu, ewentualnie także obronność granic. O potędze ekonomicznej decyduje znów kapitalizacja wewnętrzna, wysoka kultura przemysłowa i rolnicza, konkurencyjność produkcji na obcych rynkach, organizacja techniczna, system komunikacji lądowej i morskiej itd.

W ten świat ogromnego ciśnienia militarnego i gospodarczego, weszła Polska po odzyskaniu niepodległości jako w konkretną rzeczywistość, z którą się trzeba liczyć. Znalazła się w położeniu arcytrudnem. Okoliczności wymagają, by była mocarstwem pierwszej klasy — podczas, gdy przygotowanie jej do tej roli jest prawie żadne.

Dwa ideały, ku którym zdążał świat, wówczas gdy naród polski znajdował się pod jarzmem i żył romantycznemi porywami wolnościowemi — są już dla nas nie do osiągnięcia, przynajmniej w wieku XX-stym. Gdziekolwiek zwrócimy oczy, czy ku kolonjom, czy ku rynkom zbytu, wszędzie drzwi są już zatrzaśnięte. Jesteśmy ubodzy i zacofani. Statystyka mówi nam bezlitośnie prawdę w oczy. Cyfry nie kłamią. W każdej dziedzinie życia gospodarczego stoimy na ostatniem niemal miejscu w Europie, niekiedy po tak maleńkich państewkach jak Danja, Finlandja i Estonja.

Jak wyrównać tę lukę między aspiracjami wielkiego narodu — a naszą nędzą i słabością? Niewspółmierność pomiędzy tem co jest w Polsce, a tem co być powinno, jest tak olbrzymia, że według współczesnych pojęć i rachub statystycznych, usunięcie jej leży poza sferą ludzkich możliwości.

Należałoby tedy, rzecz prosta, zrezygnować z aspiracyj mocarstwowych, ograniczyć swoje ambicje i potrzeby, i pogodzić się ze skromną wegetacją w bogatszej i oświeceńszej Europie, w roli małego, zaledwie tolerowanego narodu, czyli t. zw. minderwertige Nation.

Ale choćbyśmy chcieli — nie jest to możliwe. Położenie Polski jest tego rodzaju, że sama konieczność życiowa zmusza ją do wielkości. Pomiędzy Karpatami a ujściem Wisły może żyć albo olbrzym, albo niewolnik — innego wyjścia niema. Nie można powoływać się na przykład innych małych państw, leżących na uboczu i ubezpieczonych przez same warunki naturalne, jak np. Grecja lub Norwegja. Polska, kraj o otwartych granicach, państwo powstałe na gruzach potęg regenerujących się z niezwykłą szybkością, nasycone 30% mniejszości narodowych, leżące na skrzyżowaniu wielkich, kontynentalnych dróg komunikacyjnych i handlowych — musi być zawadą dla wielu sił międzynarodowych i przedmiotem nienawiści sąsiadów. Wymowny jest fakt — świadczący o osaczeniu politycznem i gospodarczem — że ¾ naszej granicy (gr. niemiecka, sowiecka i litewska), to pas martwy pod względem handlowym i militarnie zagrożony. Na całym świecie niema podobnego przykładu.

Ciśnienie militarne, ekonomiczne i socjalne na zachodnie i wschodnie granice Polski jest tak wielkie, że grozi jej zmiażdżeniem bez ratunku, jeżeli nie przeciwstawi mu ona równoważnej siły. Polska ma 32 miljony ludności, zaś Niemcy i Rosja 230 miljonów. Energja potencjalna Niemiec dzisiejszych, jakkolwiek zwyciężonych i skrępowanych traktatem wersalskim, wysuwa je na czoło Europy. Eksport ich jest większy od eksportu Stanów Zjednoczonych. Przemysłowo jesteśmy wobec nich liliputem. Sowiety znowuż to kraj, w którym realizuje się plan gospodarczy największy w dziejach świata i w którym miljony janczarów despotji klasowej wychowuje się w nienawiści do burżuazyjnego Zachodu. Polska stoi na drodze tej lawinie.

Lata płyną. Za kilka lat Niemcy, albo będą potęgą reakcyjną, zwróconą całym żelaznym frontem przeciwko nam, albo też staną się sowieckie. W tym drugim wypadku Polska będzie jak wyspa otoczona ze wszech stron ogromnem, komunistycznem morzem. Ćwierćmiljardowa komuna, zajmująca obszar prawie trzech czwartych Europy, rozpostarta od Renu po Władywostok i wyposażona w największy przemysł świata — to siła, z którą niewiadomo czem i jak walczyć. Te perspektywy trzeba mieć na uwadze, jeżeli się chce realnie przewidywać i myśleć.

Jest to gigantyczny problem. Równie gigantyczny musi być plan i sposób jego rozwiązania. Proste obliczenie wskazuje, że Polska idąc po dawnej, tradycyjnej linji politycznej t. j. wzmacniając się militarnie i gospodarczo, nigdy nie dojdzie do celu — bo w żadnej konstelacji nie będzie mogła dorównać siłom, które ją miażdżą.

Dlatego pora dziś na historyczną decyzję, na powzięcie nowej, oryginalnej koncepcji, niepodobnej do wszystkich dotychczasowych. Trzeba mianowicie sięgnąć do tego źródła sił, które wymyka się wszelkim rachubom statystycznym, ale które może samo przez się wyrównać największą niewspółmierność. Źródłem tem jest *człowiek.*

Gdy niema ratunku na zewnątrz, trzeba go szukać w samych sobie. W Polsce powstać musi nowy typ człowieka; idzie tu o człowieka, który z łatwością sprosta zadaniom *ponad siły*. Stworzenie takiego człowieka jest możliwe dzięki temu, że rozum i wola są niewyczerpalnem źródłem energji twórczej, jeżeli się je uprawia i dyscyplinuje należycie. Jeden człowiek twórczy, wychowany do świadomego i bezinteresownego czynu — starczy za stu nietwórczych zjadaczy chleba, umiejących być tylko pionkami, popychanymi przez przypadkowe okoliczności.

Syrakuz bronił przeciw potężnej armji twórczy mózg jednego człowieka, Archimedesa, który genjuszem matematycznym i konstrukcyjnym dostarczał miastu coraz nowych maszyn i sposobów obrony. W Polsce mieliśmy liczne przykłady czynu twórczego jednostek, które same dokonywały dzieł, gdzieindziej wymagających wysiłku całych zbiorowisk ludzkich. Całe gałęzie życia społecznego, nauki, kultury, sztuki, — stwarzał u nas uparty, a mądry czyn jednego człowieka. Gdybyśmy zużytkowali tę polską zdolność wydobywania z siebie maksimum energji dla realizacji wielkiej idei, gdybyśmy celowo i świadomie podjęli trud wychowania w Polsce tego typu człowieka — moglibyśmy osiągnąć rezultaty niespodziewane.

Nie jest to utopja. Na wschód od nas śmiało podjęto plan podobny, usiłując stworzyć nowy, nieznany dotąd typ człowieka, choć o nastawieniu wprost przeciwnem do tego, jaki winien powstać u nas. Jeśli ten mechaniczny „robot", człowiek o jednolitym wprawdzie, lecz ciasnym i wykrzywionym światopoglądzie, ma „dźwigać z posad bryłę świata", to czegoż dokona człowiek o twórczym rozumie, o wszczepionym kulcie potęgi ducha i niezłomności zasad etycznych, człowiek, ogarniający swoim umysłem stokroć rozleglejsze horyzonty.

Bazę, plan i narzędzia do pracy w tym duchu mamy już w naszej filozofji i w stworzonej przez nią ideologji społeczno-politycznej, od której dotąd uchylaliśmy się, pod sugestją obcych wzorów.

W Rosji kończą już piatiletkę gospodarczą. Hitlerowskie Niemcy zrzuciwszy ciężar odszkodowań podejmą niewątpliwie piatiletkę militarną, dążąc do szybkiego odbudowania dawnej swej potęgi wojskowej. Jedyną odpowiedzią, na którą stać Polskę — i to jedyną skuteczną odpowiedzią — powinna być piatiletka rozumu twórczego, piatiletka *nowego człowieka.*

Potrzebny tu jest zarówno rozległy, dalekowzroczny plan, uwzględniający cele, jakie mamy do osiągnięcia i właściwości psychiczne społeczeństwa polskiego, jak cały, precyzyjnie przysposobiony aparat tresury intelektualnej, będącej niezbędnym, przygotowawczym etapem pracy, o jakiej tu mowa. Nasze siły naukowe i literackie, nasza prasa i instytucje kulturalne, wreszcie nasze szkolnictwo — miałyby tu pole do działania wprost olbrzymie.

Adolf Dygasiński

„Gazeta Literacka" poświęca w numerze lipcowym (7-mym) dużo miejsca Adolfowi Dygasińskiemu: zamieszcza mianowicie na 1-szej stronie artykuł Wł. Wolerta „W 30-stą rocznicę zgonu A. Dygasińskiego", dalej fragment z życiorysu („Dygasiński w Krakowie") napisany przez córkę pisarza, Zofję Wolertową, oraz szereg drobnych notatek i myśli samego Dygasińskiego z niewydanej puścizny rękopiśmienniczej.

Artykuł W. Wolerta jest lapidarną charakterystyką Dygasińskiego, ukazującą wszechstronność jego działalności i talentu w syntetycznych skrótach zatytułowanych: Młodzieniec - Tłumacz - Pedagog - Publicysta - Społecznik - Poeta - Człowiek. W świetle tej charakterystyki postać Dygasińskiego — znanego szerszemu ogółowi tylko jako „Kippling polski", mistrz w kreśleniu obrazów z życia przyrody i świata zwierzęcego — zarysowuje się i uwypukla nader plastycznie. Wolert pisze o Dygasińskim publicyście: „On ma naprawdę ideały, i walczy z grabarzami przekonań. Ze smutkiem zauważa, że „szlachetny idealizm znika z życia u nas, a tyle wieków świat nim żył". Piętnuje oryginalną szkołę obłudy i kłamstwa, jaką wytwarzamy. — Czysty donkiszotyzm!" „Altruista, humanitarysta, walczący o prawa pokrzywdzonego zwierzęcia, bronił zawsze krzywdy ludzkiej, nawet wbrew swoim interesom. Dobry i prawy, posiadający serce, spełniał swoją misję, zdając sobie sprawę, że „szlachetni giną".

Bardzo wiele ciekawych szczegółów o życiu, działalności społecznej i światopoglądzie Dygasińskiego podaje w swym fragmencie życiorysu p. Wolertowa. Przytaczamy interesujący ustęp z listu Dygasińskiego do swej przyszłej żony, z którą małżeństwo było „poprzedzone dłuższym okresem romantycznej korespondencji": Dygasiński był postępowcem, i szczerym demokratą, mimoto jednak umiał zachować miarę w swym radykalizmie społecznym. Pisze o „ludziach wyszłych z tłumu": „Ta rasa nowa ludzi ma więcej żywotności, owłada najświetniejsze przywileje powoli, czyni sobie własność z nauki, dla zdobycia której ponosi straszne wysiłki w życiu...", ale też „ludzie wyrzuceni wypadkiem z łona gminu mimo swych niezaprzeczonych wyższości umysłowych, stają się częstokroć najszkodliwszymi dla ludzkości: Tam to, w tych płonących jak pochodnie czaszkach, lęgną się owe mary nihilizmu, komunizmu; tam spiski i mordy zostają aprobowane; tam znieważanie rzeczy najświętszych dotąd nie kosztuje nic człowieka lub kosztuje bardzo mało". Tu stwierdza Dygasiński swoją apartyjność. Nie lubię tylko podłych, a mniejsza o to skąd oni się wzięli".

Cytuję parę ustępów z nieopublikowanych myśli pisarza, z fragmentu „Słowa krytyka":

„2. Czy warto pastwić się nad miernotą. Herod mordujący niemowlęta. Krytyk walczy z olbrzymem talentu i talentu niezabija, ale głupim mózgom może ukazać nicość wielkości. Gdyby krytyka nie istniała, arcydzieła i takby nie przepadły; ale mierności zginęłyby zapewne w pochodzie czasu".

„3. Umysł mierny wyobraża sobie nieraz, że człowiek tworzący arcydzieło jest mierniejszy jeszcze od niego i dlatego na ostry sąd tu i ówdzie zasługuje".

„6. Najlichszą klasę stanowią krytycy czułostkowi, mówiący przesadnie w przenośniach: „pieśniarz serca" „pogromca wad zastarzałych" itd. Ci piszą właśnie ciepło".

h. z.

Józef Weyssenhoff

Jeden za drugim, odchodzą od nas najwybitniejsi reprezentanci poprzedniego pokolenia literackiego, którego apogeum twórcze należy do okresu przedwojennego. Żeromski, Kasprowicz, Reymont, Przybyszewski, ostatnio Weyssenhoff — oto szereg nazwisk, stanowiących symbol prężności duchowej polskiej kultury narodowej XX-go stulecia, oto szereg ludzi, z których każdy wczoraj jeszcze był tej kultury elementem czynnym i żywym, a dziś trwa już tylko w świadomości ogółu przez swoje dzieło, wrosłe w rzeczywistość polską mocnemi korzeniami.

Śmierć Józefa Weyssenhoffa zabrała literaturze polskiej atut niebylejaki, człowieka o rasowej kulturze artystycznej, powieściopisarza, mogącego się poszczycić paru mistrzowskiemi tworami tego rzemiosła. Dlatego, choć pióro jego w ostatnim okresie jego działalności twórczej straciło dawną giętkość i precyzję i choć umysł jego, nazbyt związany z dobą wczorajszą, rozminął się z obecną rzeczywistością polską — nie należy niedoceniać wagi jego dzieła i zapominać o jego pięknych zasługach.

Twórczość Weyssenhoffa można podzielić z łatwością na 2 etapy, bardzo wyraźnie od siebie odgraniczone: pierwszy, pełen dynamiki i niepospolitych walorów artystycznych, kiedy to powstały książki takie, jak „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego", „Soból i panna", „Puszcza" — drugi, okres dekadencji i rozluźnienia napięcia twórczego, okres nieprzekonywujących, a może nawet chybionych powieści o zabarwieniu społecznem (takich jak „Unja", „Cudno i ziemia cudneńska", „Jan bez ziemi"), w których negatywne nastawienie autora do zjawisk i procesów życia powojennego w Polsce współczesnej, nie umiało ani wznieść się na wyżyny prawdziwej satyry historjozoficznej, ani nawet przeniknąć do źródeł, do samej istoty psychologicznej i społecznej obserwowanego przezeń środowiska.

Stąd może dzieło Weyssenhoffa przygasło w oczach społeczeństwa polskiego, oddalając się od jego duszy. Jest to charakterystycznem, że działalność pisarska tego człowieka zamknięta jest w okresach takiej obojętności powszechnej, jak w dwu szrankach. Tak, jak pierwsza jego książka „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego" przyjęta została zarówno przez publiczność, jak przez najbystrzejszych nawet krytyków (n. p. Brzozowski) conajmniej nieżyczliwie, tak ostatnie jego utwory przeminęły niemal bez echa.

Żywy odzew wywołał zato Weyssenhoff książką, która najbezpośredniej i najszczerzej wypowiadała wszystkie jego umiłowania i upodobania twórcze. Książka ta to „Soból i panna", utwór wysokiej miary, wspaniała emanacja poezji przyrody; ziemia litewska, kresowa ziemia, z którą psychika Weyssenhoffa złączona była nierozerwalnym węzłem, ukazana tu została w całem natężeniu swej urocznej potęgi, poprostu jako żywioł. Zarówno obrazy przyrody, nakreślone piórem miłośnika puszczy i łowów, jak styl utworu — dostarczały czytelnikowi wrażeń niezapomnianych. Dlatego też sława i znaczenie autorskie Weyssenhoffa datują się przedewszystkiem z tego okresu. W „Sobolu i pannie", a także w „Puszczy" przemówił talent jedyny w swoim rodzaju, jako piewca przyrody leśnej niedościgniony, a żarem i świeżością ekspresji poetyckiej zdobywający sobie trwałe miejsce w literaturze polskiej doby przedwojennej.

br. bor.

WŁADYSŁAW SEBYŁA

Z kłonicą na łopatologję unistyczną

Djalog o książce *)

Adam. Jak się masz. Od jak dawna już tu siedzisz?

Paweł. Od ósmej. Siadaj.

Adam. Kelner, pół czarnej. Nad czem tak medytujesz?

Paweł. Zobacz sam i przeczytaj uważnie.

Adam. Nno — tak. Ulotka reklamowa bibljoteki a. r. Nie widzisz w niej chyba nic zdumiewającego.

Paweł. Owszem, zdumiewa mnie zarozumialstwo redaktorów tej ulotki. Zadziwiająca jest ich pewność siebie, tupet i brak krytycyzmu.

Adam. Widzę, że jesteś rozdrażniony. Gdzież tu zarozumialstwo? Raczej walka o przekonania.

Paweł. Walka o przekonania? Wolałbym już widzieć w tem reklamę, choć mnie taki sposób reklamy zgóry nastraja niechętnie do książki, którą zaleca. Ale nie mogę uważać za bluff reklamowo-konkurencyjny zdania o atmosferze Warszawy artystycznej, „zatrutej przez ryt, rytm, ład, tomaszów, szkołę warszawską i skamandra". Uwagi o książce Strzemińskiego, jako o jedynej słusznej teorji plastyki, muszę też traktować jako szczere. I dlatego ludziom z tej parafji zarzucam już nie niezrozumialstwo, lecz zarozumialstwo i to nieuzasadnione.

Adam. Nie przesadzaj. Ja jestem skłonny widzieć tu poczucie własnej, niewątpliwej wartości i odrzucenie fałszywej skromności, co w dzisiejszych, ciężkich dla sztuki czasach jedynie może jej przywrócić jaki taki autorytet, którego bezsprzecznie jest godna.

Paweł. Teraz ty przesadzasz i albo przeceniasz wartość tych dwu książek, albo nie odczuwasz megalomanji jaka bije z treści ulotki. Nie mówię o Przybosiu. Ostatniej jego książki nie znam. Sądząc na podstawie wierszy, które czytałem, uważam go wprawdzie nie za jedynego, ale za wartościowego poetę. Natomiast książka Strzemińskiego i Kobro jest dla mnie przykładem panoszącego się w pewnych sferach artystycznych nałogu myślenia mechanicznego, mającego swe źródło w źle zrozumianym intelektualiźmie. Zdaje mi się, że nałóg takiego myślenia wypływa z pewnych dyspozycyj intelektualnych: z zatracenia związku z rzeczywistością zmysłowo - widzialną, z obracania się w sferze czystych pojęć, i z operowania w sztuce abstrakcyjno - geometrycznemi formami, w dodatku bez konsekwentnego stosowania się do prawideł konstrukcji logicznej przy budowie teoryj, opartych o oderwane pojęcia.

Adam. Twoje zarzuty przeciwko zmechanizowaniu myślenia nie są istotne i nie przesądzają o wartości rozumowania, a w danym wypadku książki. Przyznam się, że na mnie zrobiła doskonałe wrażenie. Przeczytałem ja z dużem zainteresowaniem i nauczyłem się wreszcie rozumieć nowoczesne kierunki w plastyce. Teraz już nie staję przed dziełami nowatorów jak przed zagadką. Książka Strzemińskiego daje jednak niewyrobionemu w teorji sztuki czytelnikowi pewien pogląd, mojem zdaniem słuszny, na dziedzinę plastyki. Formułuje prawa konieczne, rządzące dziełem plastycznem.

Paweł. Oczywiście, nie występuję przeciwko zmechanizowaniu myślenia w pewnym zakresie. Można przecież wyobrazić sobie tryb rozumowania, podobny do trybu postępowania w matematyce, gdzieby przekształcenia form rozumowania, jak tam przekształcenia wzorów, wynikały z jakichś ustalonych prawideł i dawały się wykonywać prawie mechanicznie, bez potrzeby sprawdzania możliwości takich przekształceń. Ale do tego potrzeba ustalenia punktów wyjścia, ścisłych definicyj pojęć, nie odbiegania od nich, no i poprawnego trybu rozumowania. W takich wypadkach wnioski wyprowadzone mogą być prawdziwe. Niestety, książka Strzemińskiego, rozpatrywana z tego punktu widzenia wykazuje braki wręcz niedopuszczalne i dlatego nie mogę przekonać się do niej. Jestem zdania, że jest poprostu szkodliwa. W bezkrytycznym czytelniku wyrabia fałszywy stosunek do sztuki, bo choć traktuje tylko o rzeźbie i architekturze, implikuje specyficzne ustosunkowanie do zjawisk estetycznych w ogólności i usiłuje przekonać o jedyności swej metody. Ponieważ jej założenia, wywody i wnioski są przeważnie błędne, kieruje bezkrytycznego czytelnika, a często i artystę, na błędne ścieżki rozumienia dzieł sztuki.

Adam. Wynikałoby z twojej perory, że uważasz mnie za bezkrytycznego czytelnika i...

Paweł. Przepraszam. Traktuję tę sprawę ogólnie. Ale nie zaprzeczysz, że przeczytałeś książkę pośpiesznie, zadowolony z prostoty ujęcia i z jasności wykładu. Twój stosunek do niej jest prawie entuzjastyczny, a to mi nic nie mówi o książce. Ja zabierałem się do czytania w nastawieniu bardzo przychylnem do jej autora, o którym słyszałem, że jest zdolnym krytykiem sztuki. Początkowo przypuszczałem, że zaczyna od truizmów, ażeby uściślić i rozjaśnić pojęcia, któremi będzie się posługiwał. W miarę czytania, albo ryczałem ze śmiechu nad wręcz komicznemi sformułowaniami i sprzecznościami, albo wściekałem się na łopatologiczny sposób ujmowania zagadnień estetycznych.

Adam. Zdaje mi się, że twój stosunek do książki Strzemińskiego jest równie uczuciowy jak mój, tylko w sensie negatywnym. Chciałbym, żebyś mi wykazał prawdziwość swoich negatywnych sądów. Nie daruję ci, dopóki nie porozmawiamy o pracy Strzemińskiego z tekstem w ręku.

Paweł. Bardzo chętnie. Egzemplarz mam w teczce.

Adam. A więc precyzuj zarzuty. To co do tej pory mówiłeś nie wychodziło poza ramy ogólników.

Paweł. Chciałbym cię najpierw zapytać, czy uważasz sądy i sformułowania Strzemińskiego za objektywne, czy za subjektywne? Pytanie to dotyczy również podejścia do zjawisk estetycznych.

Adam. Co za pytanie? Strzemiński jest najzupełniej przedmiotowy tak w krytyce wcześniejszych kierunków w rzeźbie, jak i w formułowaniu własnego pogladu na sztukę. Nie widzę w nim stronniczości. Wszystko usiłuje wyprowadzić z najogólniejszych praw, warunkujących trwanie wszelkiego tworu przestrzennego.

Paweł. Masz słuszność. Strzemiński jest objektywny; w metodzie formułowania sądów jest nawet bardziej przedmiotowy, niżby należało. Ale jeżeli sięgniemy głębiej i postaramy się doszukać celu jego książki i intencyj autora, okaże się, że objektywizm jest tylko pokrywką bardzo subjektywnego poglądu na sztukę. Szydło wyłazi z worka, kiedy autor formułuje teorję t. zw. unizmu. Chciałbym zwrócić twoją uwagę na to, że przesadny quasi-objektywzim prowadzi Strzemińskiego do stosowania mierników przedmiotowych nawet tam, gdzie można stosować mierniki wyłącznie podmiotowe, tak w sądzeniu, jak i w obliczaniu pewnych wartości, czy w ustalaniu jakości. Stąd wynikają śmieszne sztuczki, jak obliczanie ilości dynamizmu w rzeźbie, lub wogóle istnienie dynamizmu niezależnie od kształtu. Pozatem, same metody myślenia i formułowania sądów u Strzemińskiego są nieodpowiedzialne, a sposób przekonywania czytelnika — naiwny i niekonsekwentny — polega na usiłowaniu zasugestjonowania go przez powtarzanie wkółko tego samego sformułowania z drobnemi tylko zmianami. Jeżeli zwiążemy te metody postępowania z niezliczonemi ilościami truizmów, zawartych w książce, otrzymamy w rezultacie śliczny obrazek t. zw. łopatologji. Nawiązując do tekstu, twierdzę, że poczynając od t. zw. „konsekwencyj", które jakoby wynikają z wywodów autora, i mają odtąd służyć jako jedyne ideje kierownicze w plastyce, kończąc na całej jej zawartości, książka Strzemińskiego jest zbiorem truizmów, których dowodzić nie potrzeba. Truizmy te byłyby bez znaczenia, gdyby nie opaczne, niezgodne z rzeczywistością, pojmowanie ich przez autora. Dalej: wywody Strzemińskiego w połowie nie dotyczą dzieła sztuki, w połowie zaś nie są istotne dla zagadnień estetycznych. Co ważniejsza, z tych wywodów wcale nie wynikają „konsekwencje". Poco zresztą mówić to wszystko, sprawdźmy, jak się sprawy mają w tekście.

Adam. Topisz mnie poprostu w zarzutach, a jednak nie jestem przekonany. Jesteś niechętnie nastawiony do książki. To niemożliwe, żeby znalazło się w niej tyle sprzeczności.

Paweł. Mój drogi, starałem się, o ile to możliwe, dobić do sedna teorji Strzemińskiego.

Adam. Przejrzyjmy więc te, zlekceważone przez ciebie „konsekwencje", — gdzież w nich **truizmy** i sprzeczności? Czytam: „1. rzeźba stanowi część przestrzeni, warunkiem jej organiczności jest związek z przestrzenią".

Paweł. W tem, że rzeźba stanowi część przestrzeni, nic ciekawego nie widzę. Byłbyś bardzo zdumiony, gdyby ktoś usiłował przekonać cię, że **rzeźba jest** tworem przestrzennym. Pewnobyś spytał: — Czyś pan zgłupiał? Poco mi pan to mówisz?

Adam. No, tak, to jest truizm, ale potrzebny do dalszych wywodów i to usprawiedliwia podanie go tutaj.

Paweł. Zatrzymaj się, jest jeszcze dodatek: „warunkiem jej organiczności jest związek z przestrzenią". Wprawdzie niebardzo wiem, co tu oznacza pojęcie organiczności, ale cały punkt 1 znaczy chyba (rozumujmy łopatologicznie, jak to czyni Strzemiński): rzeźba jest tworem przestrzennym, a więc organicznie należy do przestrzeni. Strzemiński mówi jednak: „związek z przestrzenią jest warunkiem organiczności rzeźby", t. zn. że jeżeli rzeźba nie znajduje się w związku z przestrzenią, czyli nie jest z nią związana, to nie jest rzeźbą, **tworem** organicznie przestrzennym, czyli: coś, co jest tworem przestrzennym, może nim nie być. Ponieważ autor teorji unizmu uważa że bryła nie jest niczem związana z przestrzenią, nie jest przeto dla niego tworem przestrzennym. Stąd wynikałoby, że wszelki istniejący przedmiot przestrzenny nie jest przestrzenny, ponieważ nie jest związany z przestrzenią.

Adam. Zabawiasz się w sofistykę i wygląda, jakbyś miał słuszność.

Paweł. Zbyt łatwo dałeś się uwieść temu wywodowi. W gruncie rzeczy Strzemiński chciał powiedzieć: ponieważ rzeźba jest częścią przestrzeni, powinna być związana z nią organicznie, stąd zaś wynika postulat: powinna być budowana, jak przestrzeń. Przekonasz się niżej, jak pozbawione treści jest podobne żądanie. Jak widzisz, szukam podszewki wywodów i sformułowań Strzemińskiego: choć wyglądają na prawdziwe mogą być sprzeczne. Mnie się wydaje, że zdanie, o którem mowa, w zasadzie jest prawdziwe, a tylko w rozumieniu Strz. jest fałszywe i to go dyskredytuje. To jest naciąganie z pozorami objektywizmu.

Adam. Nie sądź tak pochopnie. Czytam dalej: „2. rzezba nie jest kompozycją formy samej dla siebie, lecz kompozycją przestrzeni". Czy nie jasne i proste? Forma dla formy — to byłoby bez sensu. Oczywista — nie komponuje się form dla samych form i stąd wymagalnik: należy komponować przestrzeń.

Paweł. Komponować przestrzeń? Czy przestrzeń składa się z kawałków, które można układać jak klocki?

Adam. Nie rób „pierwszej naiwnej". Chodzi o formy przestrzenne, o kompozycję tworów przestrzennych.

Paweł. Komponowałoby się tedy formy przestrzenne. A w jakim celu? Żeby komponować przestrzeń. Ależ, wiesz, że nawet według określenia Strzemińskiego przestrzeń jest ciągła, jednolita i nieskończona. Jakże więc z czegoś ciągłego, jednolitego i nieskończonego wykrawać jakieś kawałki, formy, i komponować tę samą rzecz? Kiedy myślę o takiej twórczości, wyobrażam sobie, że jestem zanurzony w gęstej mazi i cała moja praca polega na gestykulowaniu w tej mazi, bo w istocie nic nie tworzę, zmieniam tylko miejsca cząsteczek tej mazi i swoje.

Adam. Chodzi tu o podziały przestrzeni.

Paweł. Poco więc mówić o rzeźbieniu, jeśli chodzi o abstrakcyjne podziały przestrzeni. Teoretycznie mogę dzielić przestrzeń płaszczyznami na różne sposoby, ale przytem nie powstanie jeszcze rzeźba. Gdyby zaś te płaszczyzny przecinając się ograniczyły sobą i wydzieliły jakąś część przestrzeni, wtedy powstanie bryła, a bryła, według Strzemińskiego, nie jest rzeźbą, bo nie jest związana z przestrzenią. Oto konsekwencje „konsekwencyj".

Adam. Pozostawmy narazie 2-gi punkt w spokoju. Wyjaśnimy go później. Zanadto upraszczasz sprawę.

Paweł. Staram się postępować tak jak autor, i oto skutki.

Adam. A co masz do zarzucenia temu: „3. energja kolejno następujących po sobie kształtów w przestrzeni wytwarza rytm czasoprzestrzenny".

Paweł. Narazie nic. Nie wiem tylko do czego potrzebne i skąd biorą się tu jakieś „kształty w przestrzeni". W myśl teorji Strzemińskiego nie należałoby mówić „kształt w przestrzeni", bo to oznacza coś wydzielonego z przestrzeni, a więc pozbawionego sensu. Traktując zaś to sformułowanie serjo, nie nazwę go odkryciem Ameryki. To tak, jakby ktoś powiedział: — drzewa rosną.

Adam. Zwróć uwagę na siebie. Zupeł-

Paweł. Poco więc mówić o rzeźbach, nie mechanicznie wywracasz sofistyczne koziołki. Sam dajesz przykład mechanicznego myślenia.

Paweł. Robię to celowo. Postępuję metodą Strzemińskiego. Chcę ci wykazać pustkę jego założeń i jałowość podejścia od tej strony do dzieł sztuki.

Adam. Zobaczymy, co będzie dalej? — „4. źródłem harmonji rytmu jest miara wynikająca z liczby".

Paweł. Też mi nowość! Czyżbyś tego nie wiedział? W tej chwili włożono ci to zdańko łopatą do głowy.

Adam. Trudno czasami uniknąć łopatologji.

Paweł. Nie chce mi się wdawać w analizę tego zdania, bo szkoda czasu. Może i dałoby się wywrócić z niem parę koziołków, jak to nazywasz, ale naogół jest w porządku.

Adam. „5. architektura organizuje rytm ruchów człowieka w przestrzeni stąd jej charakter kompozycji przestrzennej".

Paweł. Można to darować. Jest mniejwięcej tak, jak mówi. Jedź dalej.

Adam. „6. architektura nie jest tylko projektowaniem wygodnie sfunkcjonalizowanych mieszkań".

Paweł. Słusznie. Jedź dalej.

Adam. „7. architektura wymaga całkowitego związku: rozmieszczenia rzeczy utylitarnych, wynalazków konstrukcyjnych, jakości barwy i kierunku kształtów, które same unoszą i kierują rytmem życia człowieka w architekturze".

Paweł. Zatrzymaj się chwilę. Punkt 7 i punkt 8 są w lekkiej sprzeczności.

Adam. Dlaczego?

Paweł. Bo jeżeli architektura wymaga całkowitego związku elementów, „które same unoszą i kierują rytmem życia człowieka", to konstrukcja taka musi być celowa, no i utylitarna. Konstrukcje tych elementów muszą być funkcjami działalności człowieka, muszą być budowane w myśl potrzeb jego działalności. Czyli: architektura powinnaby być „projektowaniem wygodnie sfunkcjonalizowanych mieszkań". Któryś z punktów, 7-my lub 8-my jest niepotrzebny.

Adam. Jesteś nieznośny. Łapiesz za słówka, a to jest niedopuszczalne.

Paweł. Może i łapię słówka, ale muszę wymagać od każdego, kto chce być ścisły, odrobiny logiki w stawianiu zagadnień i formułowaniu sądów. Nie mogę zgodzic się, żeby ktoś na podstawie sprzecznych przesłanek wyprowadzał wnioski, nie mające nic wspólnego z temi przesłankami, twierdził, że te wnioski są prawdziwe i usiłował nadomiar wmówić to w czytelnika przez powtarzanie wkółko. A tak dzieje się u Strzemińskiego na każdym kroku.

Adam. Wykaż mi więc słuszność swoich zarzutów na podstawie tekstu.

Paweł. Wybierzmy jakieś zagadnienie, rozważmy w jaki sposób zostało rozwiązane przez autora i czy rozwiązanie jest zgodne z rzeczywistością. Książka zaczyna się od rozważań, co jest granicą rzeźby i jak należy rozumieć tę ranicę. Przyznasz, że wszystko co tu mówi się na ten temat jest zbiorem truizmów. Ale mamy pewne sformułowania, które pozwalają nam zorjentować się w dążnościach autora. Każda rzeźba w ten lub inny sposób odpowiada na zagadnienie najważniejsze: stosunek przestrzeni, znajdującej się w rzeźbie do przestrzeni, znajdującej się poza rzeźbą". Możemy to zdanie rozumieć w dwojaki sposób: albo jako zagadnienie stosunku objętościowego rzeźby i przestrzeni, albo stosunku form — przestrzeni zawartej w rzeźbie, do przestrzeni poza rzeźbą. Pierwsza możliwość odpada, ponieważ autor pod wyrażeniem „przestrzeń poza rzeźbą" rozumie nieskończoność przestrzeni. Stosunek ilościowy tedy wyrażałby się zawsze cyfrą, zbliżoną do zera, a właściwie równałby się zeru. Chodzi więc o jakiś stosunek istoty, czy natury, przestrzeni poza rzeźbą i przestrzeni, ogarniętej przez rzeźbę. Strzemiński rozumuje mniejwięcej tak: — Ponieważ przestrzeń, zawarta w rzeźbie, jest tą samą przestrzenią, która znajduje się poza rzeźbą, i podlega tym samym prawom, przeto rzeźba powinna być budowana tak, jak przestrzeń, i powinna być związana z przestrzenią, z jej nieskończonością. Popełnia zasadniczy błąd: utożsamia rzeźbę z przestrzenią. Doskonale rozumiem jego dyspozycję do takich utożsamień. Na str. 36 mówi: „Przestrzeń myślimy sobie zawsze, jako rzecz". Oczywiście, dla kogo przestrzeń jest rzeczą, ten wielkiej różnicy pomiędzy rzeźbą i przestrzenią nie wyczuwa. Każdy rozumie, że w wymagalniku Strzemińskiego: — rzeźba podlega tym samym prawom, co przestrzeń i powinna być budowana na wzór przestrzeni — chodzi o trójwymiarowość. Ale z tego nic nie wynika jeszcze konieczność, t. zw. związku z przestrzenią, rozumianego przez autora w specyficzny sposób. Oto przykłady rozumienia przezeń tego związku. (Str. 7-ma) „Przestrzeń jest wszędzie jednolita i jednakowa. Rzeźba granic naturalnych nie posiada. Rzeźba rośnie w dowolnym kierunku. Zdolność rzeźby do rozrastania się w przestrzeni, jej łączność ze środowiskiem, w jakiem istnieje, z przestrzenią, w jakiej się znajduje, pociągają za sobą wymaganie jak największej łączności rzeźby z przestrzenią. Ta łączność powinna istnieć nietylko z tą częścią przestrzeni, w jakiej się mieści rzeźba, lecz z całą przestrzenią nieograniczoną bez jej podziału na przestrzeń wewnętrzną rzeźby i jej zewnętrzną, gdyż przestrzeń jest wszędzie jednakowa, jej wszystkie granice są tworem sztucznym... W myśl zasady ciągłości przestrzeni rzeźba powinna tworzyć jedność, powinna być wtopiona w nieskończoność przestrzeni". Dodajmy jeszcze do tego kilka zdań ze str. 4-tej „Przestrzeń jest wszędzie jednolita i nierozerwalna. Nie mamy odpowiednich podstaw, ażeby część przestrzeni izolować od reszty przestrzeni, wyodrębnić i powiedzieć, że nic istnieje wszystko, co się znajduje poza temi granicami". Jeżeli z tem rozumieniem przestrzeni i rzeźby zestawimy stosunek autora do przestrzeni dwuwymiarowej, okaż się jasno, jak naciągane jest całe rozumowanie i o ile ma służyć osobistym celom poparcia wywodem nowego — izmu, unizmu. Według autora nie wolno wyodrębnić żadnej części przestrzeni trójwymiarowej. „Tej granicy zgóry zakreślonej, granicy przyrodzonej rzeźba nie posiada" (Str. 5) — ale — „Obraz ma swoją granicę naturalną, jaką jest koniec płótna. Obraz nie może być posunięty poza swoją granicę naturalną" — i na str. 49 — „Natura określa brzeg obrazu, jako granicę naturalną obrazu, lecz nie daje granic naturalnych dla rzeźby"... (Czy nie można było powtórzyć jeszcze kilka razy: natura i naturalny?) „Rzeźba, powstając w przestrzeni nieograniczonej przez żadne granice" (znów te granice), „powinna tworzyć jedność z nieskończonością przestrzeni. Każde zamykanie rzeźby" (czy na klucz?) „przeciwstawianie przestrzeni i rzeźby... odbierają jej charakter organiczny jednolitości zjawiska przestrzennego". Uf! Nie dziwiłbym się, gdyby Strzemiński traktował słowo „organiczny" jako pochodzące od słowa „organy". Czy wiesz już, do czego zmierzam?

Adam. Zaczynam się orjentować. Nie wiem tylko, czy można zestawiać tak odległe zdania. No, i, mógłbyś przestać dowcipkować.

Paweł. Nie mogę się powstrzymać od tego, tak mnie śmieszą tautologizmy i łopatologja. Przecież cała teorja Strzemińskiego polega na powtarzaniu zdań: — przestrzeń nie ma granic, rzeźba nie ma granic, rzeźba powinna być budowana jak przestrzeń, rzeźba powinna być w łączności z przestrzenią itd., wkoło Macieju. Przeczytaj uważnie jedną choćby stronę, a znajdziesz na niej to samo zdanie, powtórzone kilkakrotnie, czasem w odmiennej redakcji, a czasem brzmiące niemal identycznie.

Adam. Dobrze, dobrze, ale wróćmy do przerwanego wątku. Chciałbym usłyszeć te miażdżące dla Strzemińskiego wnioski.

Paweł. Wobec tego może, na podstawie zdań, które przytoczyłem, odpowiesz mi na następujące pytania. Dlaczego Strzemiński inaczej traktuje przestrzeń dwu- a inaczej trójwymiarową? Dlaczego obraz ma granice naturalne, a rzeźba ich nie posiada? Przecież tak samo, jak przy rzeźbie, i przy obrazie możemy wyobrazić sobie całą nieograniczoną płaszczyznę, w której leży. Dlaczegoby nie miała być wymagalnikiem obrazu łączność z nieograniczonością płaszczyzny, w której leży? Zgodnie z obsesją Strzemińskiego płaszczyzna obrazu nie powinna urywać się z końcem płótna i obraz powinien być konstruowany w łączności z całą nieograniczoną płaszczyzną, powinien być z nią związany itd. Dlaczego ramy obrazu są granicą naturalną, a bryła marmuru, powiedzmy, z której mamy wykuć rzeźbę, granic naturalnych nie posiada? Nie mówię narazie nic o strefie rzeźbiarskiej. Gdyby Strzemiński był konsekwentny i nie naciągał tendencyjnie wywodów do teorji unizmu, powinienby przyjąć te same założenia i dla dzieł dwuwymiarowych.

Adam. Mam jednak wątpliwości co do słuszności twoich zarzutów, wymierzonych przeciwko wymagalnikowi Strzemińskiego łączności rzeźby z przestrzenią. Można mu wprawdzie zarzucić niekonsekwencję w tem, że nie rozciąga swojego prawa także na twory dwuwymiarowe, ale przez to nie została jeszcze obalona sama teorja łączności rzeźby z przestrzenią. Oczywiscie, można sobie pomyśleć obraz, pozbawiony granic naturalnych t. zn. ram i przeprowadzony w pomyśle zgodnie z wymaganiami łączności z przestrzenią, ale czujesz chyba dobrze, że przez to kształtów linearnych t. zn. linij prostych, krzywych, wycinków płaszczyzny nie zwiąże się z nieograniczonością płaszczyzny. Kształty te będą wprawdzie leżeć w danej płaszczyźnie, będą jednak czemś odrębnem, nie będą z nią związane. Nie mogę sobie wyobrazić możności powiązania kształtów linearnych z płaszczyzną, w której leżą. Zato mogę sobie wyobrazić kompozycję z tych kształtów na wydzielonej części płaszczyzny. A więc tutaj zgóry trzeba sobie założyć granice płaszczyzny i w jej ramach budować przemyślaną, zamkniętą, istniejącą samą dla siebie konstrukcję.

Paweł. — Czy nie widzisz, że to prawidło rozciąga się i na rzeźbę? Jeżeli nie można kształtów płaskich powiązać z płaszczyzną, to jak powiązać kształty trójwymiarowe z przestrzenią? Strzemiński ma złudzenia, że jego unistyczne rzeźby są związane z przestrzenią. Mojem zdaniem znajdują się z nią w takim samym związku, jak konstrukcja kształtów linearnych na nieograniczonej płaszczyźnie. Dopiero stworzenie ram przestrzennych może nadać im sens istnienia. Przyjrzyjże się choćby „rzeźbom" unistycznym, reprodukowanym w książce (repr. 24, 33 — 35, 37, 38). Rozpatrywane same w sobie, jako całości, są tylko tworami przestrzennemi, rzuconemi bezładnie w dowolnem miejscu nieograniczonej przestrzeni, tak samo jak, powiedzmy, Mojżesz Michała Anioła, ustawiony w bylejakiem miejscu. Pomijam już kwestję różnicy pomiędzy Mojżeszem a rzeźbą K. Kobro. Mojżesz, postawiony nawet bylegdzie, tłumaczyłby się jakoś, ponieważ jest dziełem sztuki skończonem i doskonałem. A cóż mi to za dzieło sztuki, które wymaga klucza, aby dało się zrozumieć i uzasadnić. Może zresztą stworzenie jakichś ram przestrzennych uwydatniłoby ich celowość i oddziaływanie estetyczne. Dla mnie są tylko podziałami wycinków przestrzeni, przeprowadzonemi z pomocą grubych i prymitywnych kształtów, podobnych do płaszczyzn.

Adam. Pozwól, że postaram się wytłumaczyć ci, na czem polega koncepcja Strzemińskiego. Zgadzasz się na to, że obraz, jako dzieło plastyczne, ma sens istnienia tylko w pewnych granicach, ramach, zgóry założonych. Otóż żadna rzeźba w dotychczasowej swej formie ramtych nie posiada. Jeżeli nawet będziemy uważali za takie ramy t. zw. strefę rzeźbiarską (naprz. bryła marmuru o kształcie graniastosłupa prostego) to z chwilą powstania rzeźby granice strefy znikają, a rzeźba, nowopowstały twór znajduje się nieoczekiwanie wobec nieograniczonej przestrzeni. Nigdy podobny wypadek nie zajdzie przy obrazie, chyba że pomyślimy go sobie, jak to mówiliśmy przedtem, na nieograniczonej płaszczyźnie, pozbawiony ram; a wtedy nie ma sensu. Tymczasem każda prawie rzeźba znajduje się w tem położeniu, co tak pomyślany obraz. Strzemiński widzi rozwiązanie tego przeciwstawienia nagich kształtów i nieograniczonej przestrzeni w t. zw. związaniu rzeźby z przestrzenią. Należałoby sprawdzić, czy koncepcja jego jest słuszna i celowa i czy unizm jest rozwiązaniem tego zagadnienia celowem i prawdziwem. Tu właśnie powinien leżeć punkt ciężkości naszej rozmowy. Ty zaś przenosisz go stale na płaszczyznę potknięć logicznych autora.

(Dokończenie w n-rze 10-tym).

*) Katarzyna **Kobro. Władysław Strzemiński. Kompozycja przestrzeni.** Obliczenia rytmu czasoprzestrzennego. Bibljoteki „a. r." Nr. 2. Str. 79 i 46 ilustracyj.

Witraże St. Witkiewicza w niebezpieczeństwie.

W kościele parafjalnym w Zakopanem znajdują się witraże Stanisława Witkiewicza, ufundowane dla tegoż kościoła przed dwudziestu laty przez nieżyjących już dziś górali Wojciecha Roja i Jana Krzeptowskiego. Witraże są jedyną próbą stosowania przez Witkiewicza motywów góralskich do witraży kościelnych.

Obecnie rozpoczęto restaurację kościoła pod protektoratem tamtejszego proboszcza, ks. Tobolaka. Mimo starań komitetu witkiewiczowskiego (pp. J. Gw. Pawlikowskiego, Ign. Witkiewicza i Tad. Korniłowicza), mimo fachowej opinji specjalisty, p. Henryka Nostitz-Jackowskiego — przygotowania do nowoczesnej polichromji ścian są w toku i usunięcie witraży Witkiewicza jest nadal zamierzone. Delegacja Związku Podhalan złożyła w tej sprawie memorjał do ks. metropolity krakowskiego.

Jeszcze o teorji muzyki Wrońskiego

W Nr. 6 „Zetu“ przedstawiłem w zarysie zasady filozofji muzyki Wrońskiego*). Jak już zaznaczyłem, Wroński zajmował się muzyką mało, poglądy jego znamy tylko z listów do Durutte'a; sam on nie wyciągnął wniosków praktycznych ze swych założeń. Chciałbym właśnie rozważyć, jakie konsekwencje wypływają z tych założeń.

Wroński dał przedewszystkiem głębsze podstawy dla teorji gamy, wykazując niemożliwość oparcia jej wyłącznie na prawach akustyki lub psychologji; zwrócił uwagę na istotę gamy, jako wyniku przystosowania się wzajemnego zasad fizycznej i psychicznej; przeczuł wielkie prawo psychofizyczne, któremu Weber, a zwłaszcza Fechner nadali taki rozgłos. W konsekwencji zwrócił uwagę na to, że postulat wartości estetycznej interwałów, a mianowicie: aby ich stosunki były wymierne, należy zastosować nie do stosunków drgań, ale do ich logarytmów, do tego, co odczuwamy bezpośrednio, do „warunków intelektualnych tonu“. Z drugiej jednak strony „warunki fizyczne“ interwałów upatruje Wroński w szeregu tonów harmonicznych, które też się wyrażają przy pomocy liczb wymiernych. Otóż, aby zarówno liczba logarytmowana, jak i jej logarytm były równocześnie wymierne, trzeba, aby liczby logarytmowane były jedynie potęgami całkowitemi zasady logarytmów. Jeśli za zasadę weźmiemy 2, to potęgi całkowitej dwójki dadzą nam szereg oktaw, które tworzą niejako węzły i punkty oparcia dla skali muzycznej. Jedynie dla nut oktawowych skali warunek wymierności spełniony będzie równocześnie i dla liczby logarytmowanej i dla jej logarytmu. Jednak dla interwałów, wypełniających te oktawy, musimy przyjąć albo wymierność stosunków, a niewymierność logarytmów (co się dzieje we wszystkich tak zwanych gamach naturalnych, od pitagorejskiej począwszy, kończąc na gamie Zarlina), albo odwrotnie: przyjąć niewymierność stosunków drgań przy wymierności ich logarytmów (jest to cechą gamy temperowanej, gdzie stosunki drgań dźwięków wyrażone są przez $(\sqrt{2})^n$ (n = liczbie całkowitej). Logarytu tego stosunku, ½ n lg2 przy logarytmach o zasadzie 2 będzie zawsze wymierny).

Uczony francuski Francis Warrain, z którego cennych, niewydanych jeszcze uwag o filozofji muzyki Wrońskiego korzystam, dziwi się, że Wroński, któremu głównie chodzi o wymierność w dziedzinie „warunków intelektualnych tonu“, a więc o wymierność logarytmów, odrzuca gamę temperowaną, właśnie ten warunek spełniającą. Ale jest to zupełnie konsekwentnym wynikiem założeń Wrońskiego, dla którego „warunki intelektualne tonu“ muszą się wyrażać w liczbach wymiernych, a „warunki fizyczne tonu“, a więc interwale harmoniczne, są z natury wymierne. Nie możemy więc za podstawę fizyczną gamy brać liczby niewymiernej $\sqrt{2}$ Z trudności uzgodnienia tej sprzeczności znajduje Wroński wyjście, jak wiemy, w „warunkach antropologcznych tonu“, czyli własności psychofizjologicznej naszego ucha nieodróżniania tonów zbyt bliskich. Ta własność pozwala zastępować w pewnych granicach jeden dźwięk przez inny, logarytm zasadniczo niewymierny przez wymierny.

Prawo powyższe ujmuje Wroński we wzorze:**).

$$X^1 = \Lambda n - \Lambda m - 0{,}0179219$$
$$X^{11} = \Lambda n - \Lambda m + 0{,}0179219$$

Jak z tego wzoru widać dla każdego interwału n/m można znaleźć w granicach od x' do x'' logarytm nietylko wymierny, ale nawet mający niewielką ilość znaków dziesiętnych (ma to znaczenie istotne, gdyż ułamek o niewielkiej liczbie dziesiętnych, przy porównywaniu estetycznem nie będzie się różnił od liczby niewymiernej).

Warunkom wyrażonym przez ten wzór, odpowiadają wszelkie gamy naturalne; wyjaśnia on, **jak jest wogóle możliwa gama przy postawieniu postulatu wymierności.**

Natomiast wzór ten nie może służyć do bezpośredniego wyprowadzenia z niego jakiejś jedynej absolutnej gamy. Wprawdzie Wroński w jednym z listów do Durutte'a podaje swoją gamę „absolutną“,

c	cis	d	dis	e	f	fis	g	gis	a	ais	h	c
1	17/16	9/8	85/72	5/4	4/8	17/12	3/2	51/32	27/16	85/48	17/9	2

ale nie wiemy, na jakiej drodze do niej doszedł. Sprawę tę może będzie mógł wyjaśnić jego niezbadany jeszcze rękopis o muzyce, znajdujący się w Kórniku.

Narazie nic o tem nie można powiedzieć, jak doszedł Wroński od przytoczonego wyżej wzoru do swojej gamy i jakie nowe założenia dołączył (gdyż bez dodatkowych założeń niemożliwem jest wyprowadzenie ze wspomnianego wzoru jakiejś jedynej gamy). Zresztą i sam Wroński, chociaż nazywa swoją gamę „absolutną“, stwierdza, że nie jest to jedyna możliwa, i zaznacza, że jego prawa dają podstawy do wyprowadzenia „wszystkich gam, jakie kiedykolwiek odkryją, a nawet tych, jakich może nigdy (na drodze empirycznej) nie wykryją“.

W każdym razie mnie osobiście zdaje się, że o wiele istotniejszem od samej „gamy absolutnej“ jest spostrzeżenie, które Wroński przy niej podaje, a mianowicie, że w skład jego gamy wchodzą jako czynniki tylko **liczby rytmiczne.**

Otóż już Kepler w swem dziele „Harmonices Mundi Libri V“ szuka dla zjawiska konsonansu i dysonansu analogji w prawach geometrycznych, rządzących wpisywaniem w koło wielokątów foremnych. Zwraca on uwagę na to, że właśnie te liczby, przez które można podzielić koło zapomocą cyrkla i linjału i utworzyć wielokąt foremny, tworzą w muzyce stosunki konsonantyczne.

Gauss dał następującą teorję matematyczną podziału koła na równe części: pierwiastki równania $x^m = 1$ odpowiadają podziałowi koła o promieniu 1 na m równych części. Otóż równanie to da się rozłożyć na czynniki typu 2^n $2^n + 1$ (przyczem suma ta musi być liczbą pierwszą), oraz $2^n (2^n + 1)$.

Liczby powyższe nazywają się **liczbami rytmicznemi** i jedynie przez te liczby da się koło podzielić na równe części przy pomocy cyrkla i linjału. Dla podziału koła przez liczby nierytmiczne musimy posługiwać się parabolą.

Otóż Wroński zwraca uwagę na to, że interwały jego gamy składają się ze stosunków, wyrażonych wyłącznie przez czynniki rytmiczne, że liczby nierytmiczne jak 7, 11, 13 itd. nie mają tam miejsca. Warunkowi temu odpowiadają zresztą wszystkie gamy naturalne; również przy zestawianiu znanych nam gam z szeregiem harmonicznym uderzającym jest fakt, że właśnie alikwoty nierytmiczne: siódmy, jedenasty, trzynasty i t. d. nie znajdują się ani w gamie diatonicznej, ani chromatycznej.

Odpowiedniość interwałów muzycznych do podziału koła nie jest jakąś przypadkową analogją. Przebłyskuje tu wspólność praw rządzących okresowością czasu i zjawiskami cyklicznemi w przestrzeni. Zasługą Wrońskiego jest właśnie zwrócenie na to uwagi.

Otóż widzimy, że głębokie założenia teorji muzyki Wrońskiego o tyle, o ile możemy sądzić ze skąpego dostępnego nam materjału, przy zastosowaniu praktycznem dają do pewnego stopnia wieloznaczne wyniki. Do wzoru jego i do postulatu rytmiczności stosują się wszystkie znane gamy naturalne. Warrain uważa, że powodem tej nieoznaczoności jest dążność Wrońskiego do wyprowadzania całej teorji muzyki z pojęcia rytmu (wprawdzie pojętego jak najogólniej: ilościowo, jako rytm właściwy i jakościowo, jako wysokość dźwięku. Por. mój artykuł w Nr. 5 „Zetu“). Według Warrain'a zaś muzyka oprócz rytmu opiera się na prawach kontrastu. Oparcie się na tych dwóch zasadach (rytmie i kontraście) pozwoliło uczonemu francuskiemu Karolowi Henry, wychodzącemu zresztą z założeń Wrońskiego, zbudować piękną teorję psychofizyczną gamy, której nie mogę tu streszczać, a która pozwala ująć gamy Pitagorasa, Ptolomeusza, Zarlina itd. jako etapy coraz większego precyzowania gamy, którego najwyższym wyrazem jest jak dotychczas gama temperowana.

K. Régamey.

*) Znajomość tego artykułu jest konieczna dla zrozumienia wywodów poniższych. Wobec szeregu błędów drukarskich, które zakradły się do artykuły z Nr. 6-go, należy tam wziąć pod uwagę poprawki następujące: powinno być:

№ 6 „Zetu“ str. 2

szp. 3 wiersz 2 od d.: $2^x = n/m$
„ 4 „ 1 od g.: $(\frac{1}{2})^x = m/n$
„ „ „ 6 „ „ : (B_2)
„ „ „ 10 „ „ : $\Lambda(n/m)$ = liczbie wymiernej (B_3).
„ 5 „ 29 „ „ : różnicy pomiędzy μ/ν a ν/μ
„ „ „ 32 „ „ : $(1/2)^{x'} = \frac{\mu m}{\nu n}$ i $(1/2)^{x''} = \frac{\nu m}{\mu n}$
„ „ „ 35,36 „ „ : $x' = \Lambda n - \Lambda m + \Lambda\mu - \Lambda\nu$ i $x'' = \Lambda n - \Lambda m + \Lambda\nu - \Lambda\mu$ **)(c)
„ „ „ 38 „ „ : $\Lambda\nu - \Lambda\mu = \lambda$
„ „ „ 41 „ „ : $x' = \Lambda n - \Lambda m - \lambda$ i $x'' = \Lambda n - \Lambda m + \lambda$ (c_1)

**) Porównaj mój artykuł w Nr. 6 „Zetu“.

Chrześcijaństwo - religja rozumowa

(Dokończenie).

II. DO KORYNTJAN:

Bo broń żołnierstwa naszego nie jest cielesna: ale Bogiem mocna na zburzenie miejsc obronnych, rady burząc: i wszelaką wysokość wynoszącą się przeciw **poznaniu** Bożemu, i w niewolą podbijając wszelki **rozum** pod posłuszeństwo Chrystusowe. (X. 4 — 5). Bo nie możemy nic naprzeciwko **prawdzie**: ale za **prawdą**. (XIII. 8).

DO GALATÓW:

Aleć na on czas nie **znając** Boga, służyliście tym, którzy z przyrodzenia nie są bogowie. A teraz **poznawszy** Boga, i owszem poznani będąc od Boga: jakoż się zaś nawracacie ku elementom mdłym i niedostatecznym, którym zasię znowu służyć chcecie. (IV. 8 — 9).

DO EFEZÓW:

Która (łaska Chrystusa) nader obfitowała przeciw nam we wszelakiej **mądrości** i **roztropności**, aby nam **oznajmił** tajemnicę wolej swojej... Nie przestawam dziękować za was, wzmiankę o was czyniąc w modlitwach moich, aby Bóg Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec chwały, dał wam Ducha **mądrości** i objawienia, w **uznaniu** jego: oświecone oczy serca waszego, abyście **wiedzieli**, która jest nadzieja wezwania jego. (I. 8 — 9, 16 — 18). Jako czytając możecie **zrozumieć wyrozumienie** moje w tajemnicy Chrystusowej: która innych wieków nie była **poznana** od synów ludzkich... A iżbym **objaśnił** wszystkim, który jest szafunek tajemnice zakrytej od wieków w Bogu, który wszystko stworzył: aby teraz **wiadoma** była księstwom i zwierzchnościom, na niebiosach przez kościół rozliczna **mądrość** Boża... żebyście mogli pojąć ze wszystkiemi świętemi, która jest szerokość, i długość, i wysokość, i głębokość. (III. 4 — 5, 9 — 10, 18). I tenże dał niektóre Apostoły, a niektóre Proroki, a drugie Ewangielisty: a inne pasterze i **doktory**. Ażbyśmy się wszyscy zeszli w jedność wiary i **poznania** Syna Bożego... Abyśmy już nie byli dziećmi chwiejącemi się, i nie byli uniesieni od każdego wiatru nauki przez złość ludzką, przez chytrość na **oszukanie błędu**. A czyniąc **prawdę** w miłości, żebyśmy doszli w nim we wszystkiem... To tedy powiadam i oświadczam się w Panu: abyście już nie chodzili i jako Poganie chodzą **w próżności umysłu swego.** Ciemnościami **zaćmiony mając rozum**, oddaleni od żywota Bożego dla **nieumiejętności**, która w nich jest... Lecz wy nie takeście się Chrystusa **nauczyli**: jeźliżeście go jednak słuchali i w nim jesteście **wyuczeni** (jako jest **prawda** w Jezusie). Abyście złożyli według dawnego obcowania starego człowieka, który się psuje według żądz **błędu**. A odnówcie się duchem **umysłu** waszego: i obleczcie się w nowego człowieka, który wedle Boga stworzony jest w sprawiedliwości i świętobliwości **prawdy**. (IV. 11, 13 — 15, 17 — 18, 20 — 24). Bo owoc światłości jest we wszelakiej dobrotliwości i sprawiedliwości i **prawdzie**... Patrzcież tedy, bracia, jakobyście ostrożnie chodzili: nie jako niemądrzy, ale jako **mądrzy**... A przetoż nie bądźcie **nieroztropnemi**: ale **rozumiejącemi**, która jest wola Boża. (V. 9, 15, 17).

DO FILIPENSÓW:

I oto proszę, aby miłość wasza więcej, a więcej obfitowała w **umiejętności** i we wszelakiem zrozumieniu. (I. 9). Napełńcie wesele moje, abyście toż **rozumieli**, też miłość mając, **jednomyślni**, jednoż **rozumiejąc**. (II. 2). Owszem poczytam wszystko za szkodę dla wysokiego **poznania** Jezusa Chrystusa, Pana mego. (III. 8). Naostatek, bracia, cokolwiek jest **prawdziwego**, cokolwiek wstydliwego, cokolwiek sprawiedliwego, cokolwiek świętego, cokolwiek przyjemnego, cokolwiek dobrej sławy: jeśli która cnota, jeśli która chwała karności, to **obmyślajcie. (IV. 8).**

DO KOLOSSAN:

Dla tego i my ode dnia, któregośmy usłyszeli, nieprzestawamy za was się modlić i prosić, abyście byli napełnieni **znajomości** woli jego we wszelakiej **mądrości** i **wyrozumieniu** duchownem: abyście chodzili godnie Bogu we wszem się podobając: w każdym uczynku dobrym owoc przynosząc, i rosnąc w **znajomości** Bożej... Którego (Chrystusa) my przepowiadamy, upominając każdego człowieka nauczając każdego człowieka we wszelakiej **mądrości**... (I. 9 — 10, 28). Aby pocieszone były serca ich, spoiwszy się w miłości, i ku wszelkim bogactwom zupełności **wyrozumienia**, ku **poznaniu tajemnice** Boga Ojca i Chrystusa Jezusa, w którym skryte są wszystkie skarby **mądrości** i **umiejętności**... Niechaj was nikt nie zwodzi, chcąc przez pokorę i nabożeństwo Aniołów, w tem czego nie widział chodząc, próżno nadęty zmysłem ciała swego: a nie trzymając się **głowy**, z której wszystko ciało przez spojenia i związania zrządzone i spólnie złączone, rośnie na pomnożenie Boże. (II. 2 — 3, 18 — 19). Nie kłamajcie jedni drugim: zwlókłszy z siebie starego człowieka z uczynkami jego, a oblókłszy nowego tego, który się odnawia w **poznaniu**, podług wyobrażenia tego, który go stworzył... Słowo Chrystusowe niechaj mieszka w was obficie, z wszelaką **mądrością**... (III. 9 — 10, 16). W **mądrości** się obchodźcie z tymi, którzy są obcy. Mowa wasza zawsze w przyjemności niech będzie solą posolona: abyście **wiedzieli** jak macie każdemu odpowiadać. (IV. 5 — 6).

I. DO TYMOTEUSZA:

Który (Bóg) chce, aby wszyscy ludzie byli zbawieni, i przyszli ku **uznaniu** prawdy (II. 4).

II. DO TYMOTEUSZA:

Albowiem Bóg nie dał nam ducha bojaźni: ale mocy, i miłości, i **trzeźwości**. (I. 7). **Rozumiej** co mówię: bo da tobie Pan we wszystkiem **wyrozumienie**... Staraj się pilnie, abyś się stawił doświadczonym Bogu, robotnikiem niezawstydzonym, **dobrze rozbierającym słowo prawdy**... A słudze Pańskiemu nie trzeba się wadzić: ale układnym być ku wszystkim, sposobnym ku **nauczaniu**, cierpliwym. W cichości strofującym te, którzy się sprzeciwiają **prawdzie**: ażeby im kiedy dał Bóg pokutowanie ku **poznaniu prawdy**. (II. 7, 15, 24 — 25). Zawsze się **uczące**, a nigdy ku **wiadomości prawdy** nie przychodzące. A jako Jannes i Tambres sprzeciwiali się Mojżeszowi: tak i ci się sprzeciwiają **prawdzie**, ludzie rozumu skażonego... (III. 7 — 8). Przepowiadaj słowo: nalegaj w czas: nie w czas: karz, proś, łaj, z wszelaką cierpliwością i **nauką**. Albowiem będzie czas, gdy zdrowej **nauki** nie ścierpią: ale według swojej pożądliwości nagromadzą sobie uczycielów, mając świerzbiące uszy: a od **prawdy** słuchanie odwrócą, a ku baśniom się obrócą. (IV. 2 — 4).

DO TYTUSA:

A ty mów co przystoi zdrowej **nauce**. (II. 2).

DO ŻYDÓW:

Albowiem gdyście mieli dla czasu być **nauczycielami**: zasię potrzebujecie, aby was **uczono**, które są początki zaczęcia mów Bożych: i staliście się którymby mleka trzeba, a nie twardego pokarmu. Bo każdy, który jest mleka uczestnikiem, nie **świadom** jest mowy sprawiedliwości: albowiem dzieciątkiem jest. A doskonałych jest twardy pokarm: tych, którzy przez zwyczajenie zmysły mają wyćwiczone ku **rozeznaniu** dobrego i złego (V. 12 — 14). I nie będzie **uczył** każdy bliźniego swego, i każdy brata swego, mówiąc: **Poznaj Pana**: albowiem wszyscy mię **poznają**. (VIII. 11).

II. LIST PIOTRA APOSTOŁA:

Bóg jest światłością: a żadnej ciemności w nim niemasz. (I. 5).

A nieskwapliwość Pana naszego, rozumiejcie zbawieniem: jako i najmilszy brat nasz Paweł wedle danej sobie **mądrości** do was pisał: jako i we wszystkich liściech, o tem w nich mówiąc: w których są niektóre rzeczy trudne ku **wyrozumieniu**, które **nieuczeni** i niestateczni wykręcają, jako i inne pisma, ku swemu własnemu zatraceniu. Wy tedy, bracia, **wiedząc** przedtem, strzeżcie, abyście zwiedzeni błędem głupich, nie wypadli z własnej stateczności. Ale rośćcie w łasce i w **poznaniu** Pana naszego... (III. 15 — 18).

I. JANA:

My Boga jesteśmy. Kto **zna** Boga, słucha nas. Kto nie jest z Boga, nie słucha nas: **ztąd znamy ducha prawdy i ducha błędu.** (IV. 6). I wiemy, iż Syn Boży przyszedł i dał nam **zmysł, abyśmy poznali prawdziwego Boga**. (V. 20).

LIST JUDY APOSTOŁA:

A ci czegokolwiek niewiedzą, bluźnią: a cokolwiek z przyrodzenia, jako nieme bydło, rozumieją, w tem się psują. (10).

Na zakończenie przytoczę jeszcze jedno zdanie z pięknej pracy prof. Bersaniego o filozofji świętego Tomasza z Akwinu (**Immaterialita e pensiero**, str. 9):

„E siccome ogni ente materiale è limitato rispetto a sè e alle cose superiori: nessuno degli esseri inferiori all'intelletto puo conoscere sè o le cose a sè superiori Invece l'intelletto, ch'è sciolto affatto da'limiti della materia, puo conoscere non solo le cose tutte materiali, ma e sè stesso e tutte le cose a sè superiori.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

O „Czystej Formie“

Weźmy pod uwagę człowieka, który ryczy z bólu. Będziemy tu mieli pewne następstwo zmiennych dźwięków, wypełniających pewne wycinki czasu. Mamy więc przedewszystkiem elementy jakościowe, niesprowadzalne do niczego i nie dające się zdefinjować, to jest dźwięki. Następnie mamy wysokości, barwy tonów i ich natężenia. Gdybyśmy mogli zanotować dokładnie czas trwania każdego tonu niezmiennego, dostalibyśmy podział całego wycinka czasu na krótsze i dłuższe wycinki częściowe, zapełnione różnemi dźwiękami o różnych natężeniach. Ten właśnie schemat, byłby wyrazem formy ryku człowieka cierpiącego. Wszystkie zjawiska w czasie będą miały swoją formę mniej lub więcej określoną, którą trudniej lub łatwiej będziemy mogli bezpośrednio zaobsewować. Formę w wypadku tym możemy określić jako pewien porządek następstwa w czasie. Będziemy rozróżniać następstwa więcej, lub mniej uporządkowane. Możemy według stopnia uporządkowania ułożyć cały szereg zjawisk, teoretycznie przynajmniej zupełnie ciągły. W szeregu tym dwa sąsiednie elementy będą podobniejsze między sobą niż dwa odległe, o ile zrobimy abstrakcję od innych ich właściwości, a będziemy rozpatrywać tylko ich formę. Od ryku cierpiącego człowieka zaczynając możemy przejść w sposób prawie ciągły do symfonji. Jako pośrednie elementy możemy przyjąć np. różne rodzaje śpiewu od niewyraźnego nucenia, aż do określonej melodji, aż wreszcie skończymy na doskonale skonstruowanym utworze muzycznym. Wszystkie te gatunki zjawisk będą miały elementy jakościowe, dźwięki, ujęte w pewne formy: od zupełnej arytmji do rytmu określonego, przyczem forma może się komplikować w ten sposób, że ostatnie elementy szeregu mogą na pierwszy rzut oka, a raczej ucha, robić wrażenie zupełnie bezforemnych.

Oprócz tego kombinacje dźwięków mogą dla nas coś wyrażać, być symbolami innych zjawisk. Wspomniany wyżej ryk będzie dla nas wyrazem bólu, śpiew może wyrażać całą gamę różnorodnych uczuć, skomplikowana muzyka może pobudzać w nas uczucia zupełnie nie dające się w inny sposób jak w muzyce ująć i przedstawić. To co dane kombinacje dźwięków wyrażają, będziemy nazywać treścią ich życiową, w przeciwieństwie do formy, którą określimy jako jedynie pewien porządek następstwa w czasie.

W tym sensie możemy powiedzieć, że forma służy dla pomieszczenia pewnej treści. Ponieważ wszystkie te zjawiska posiadają elementy jakościowe t. j. dźwięki, następnie posiadają formę i wyrażają pewną treść, w wypadku muzyki pojmowaną bezpośrednio, nie mamy pozornie żadnych danych do klasyfikacji ich na dzieła sztuki inne, nie będące dziełami sztuki.

Weźmy inny przykład: pewien moment rzeczywistej bitwy, na którą patrzymy. Porządkiem, czyli formą tego zjawiska będzie rozkład postaci, czyli pewnych kompleksów zabarwionych kształtów w polu widzenia, które przyjmijmy odrazu za ograniczone — pomyślmy, że na bitwę patrzymy przez okno. Weźmy dalej żywy obraz, przedstawiający bitwę, następnie część panoramy bitwy, a jeszcze dalej obraz realistyczny i obraz formistyczny bitwy. W pierwszym wypadku bitwa będzie nam się przedstawiać w całej swej przypadkowości częściowej, mimo, że w całości może być pomyślana przez genjalnego wodza i wykonana według pomysłu.

Ktoś układający żywy obraz poprzestawiał figury, zgrupował je inaczej, aby obraz bitwy stał się jaśniejszym dla patrzącego. Forma jej stała się dla nas wyraźniejsza. Ktoś malujący obraz, muszący się liczyć z tem, że operuje tylko płaszczyzną, jeszcze większy zaprowadził w tej bitwie porządek. Wódz stoi na pierwszym planie w grupie wojowników, która uwydatnia jeszcze jego postać, sztandary rysują się na tle nieba i tak dalej. Tak naprzykład komponował swoje obrazy Juljusz Kossak. Forma, jakkolwiek służy tylko do lepszego uwydatnienia treści, którą jest sama bitwa jako taka, jest tu jeszcze wyraźniejsza. Formista, którego jak to z nazwy samej widać, obchodzi tylko sama forma, skomponował swoją bitwę zupełnie z punktu widzenia prawdy życiowej dowolnie, jednak pewni ludzie bezpośrednio, inni dopiero po przeczytaniu podpisu, będą widzieli na obrazie bitwę mniej, lub więcej zdeformowaną, tak pod względem układu ogólnego, jak i co do jego części — poszczególnych figur.

Mamy znowu szereg zjawisk, a właściwie przedmiotów, w których jest i forma i treść życiowa, a materjałem ich są elementy jakościowe t. j. barwy. Znowu nie mamy pozornie żadnej właściwości specjalnej, przy pomocy której moglibyśmy przeprowadzić klasyfikację w tym szeregu na dzieła sztuki i na inne przedmioty nie będące dziełami sztuki.

Podobnie od jakiejś przemowy agitatora na wiecu możemy przejść w sposób ciągły do mówionego wiersza dodając coraz to nowe właściwości, z których jednak żadna nie określi nam jednoznacznie tego miejsca w szeregu, w którym zaczyna się poezja. Agitator może mówić coraz piękniej, coraz lepszą formę może mieć jego przemówienie, wpadnie powoli w szał, zacznie mówić prozą rytmiczną, a następnie improwizować w sposób rytmiczny i rymowany. Ale kiedy nastąpiło to przejście nikt nie będzie w stanie dokładnie oznaczyć. Zupełnie tak samo od pierwszej lepszej awantury życiowej, jakiejś sceny ulicznej, czy dramatu pokojowego, możemy przejść do sztuki scenicznej. Dla tych, dla których udawanie czegoś jest istotą teatru i którzy twierdzą, że od miejsca, w którem wszyscy zaczną udawać, zacznie się scena, możemy zrobić założenie, że w każdym następnym elemencie szeregu, ludzie rzeczywiści, a narazie nie aktorzy, zaczną powoli coraz bardziej udawać i improwizować, dalej grać według planu i tak, przy coraz doskonalszej formie całości zjawiska dojdziemy do doskonale skonstruowanego dramatu, a dalej do dramatu formistycznego, w którym, jak to nazwa wskazuje, forma ma być rzeczą główną. Ale jeśli przejście ciągłe jest możliwe, znowu pozornie nie możemy określić, gdzie zaczyna się sztuka, a kończy życie. Sytuacja staje się beznadziejna.

(c. d. n.). **S. I. Witkiewicz.**

Wystawa Wyczółkowskiego w Krakowie

Krakowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych uczciło 80-ciolecie urodzin Leona Wyczółkowskiego, przez urządzenie wystawy jego prac. Dołożono wszelkich starań, by dać publiczności przegląd całokształtu dzieł znakomitego artysty. Cel ten nie został w pełni osiągnięty, choćby dlatego, że równocześnie i Warszawa zorganizowała podobną wystawę, rozporządzającą o wiele obfitszym materjałem. Zdołano jednak pozyskać wiele cennych prac, znajdujących się w rękach prywatnych, oraz urządzić salę wypełnioną całkowicie t. zw. „teką krakowską“ (widoki i fragmenty Krakowa), stanowiącą prawdziwą ozdobę wystawy.

Niemcy na rozdrożu

H. R. Knickerbocker: Niemcy na rozdrożu. Przeł. prof. dr. Z. Szymanowski. Warszawa 1932. Nakł. M. Fruchtmana. Str. 301.

Ostatnie wiadomości z placu boju Książka ta jest tak dalece nowalją, że zawiera dane statystyczne ze stycznia 1932 r. Wprawdzie wypadki w Niemczech śpieszą się tak gorączkowo, że pół roku czasu to cały kalejdoskop przeobrażeń, mimo to jednak mapa orjentacyjna końca 1931 r., miarodajna jest dla oceny dnia dzisiejszego.

Sama już okładka książki mówi wiele. U góry czarna swastyka hitlerowska, u dołu sierp i młot w czerwonem polu. Istotnie, Niemcy są dziś klasycznym przykładem t. zw. antynomji społecznej, której symbolem może być waga o huśtających się gwałtownie szalach. Przed stu laty waga znajdowała się we Francji, ku zgorszeniu i panice związanej Świętem Przymierzem Europy; dziś przeniesiono ją nad Sprewę. W Rosji rzecz wyglądała inaczej. Tam, pod szyldem caratu, cały naród, od książąt aż do bosiaków poetyzował na temat rewolucji społecznej: poezja zamieniła się w ponure jatki. Problem wagi społecznej przestał istnieć, bo jedno jej ramię zostało urwane bez skrupułów.

Autor, **delegat gwiaździstego** sztandaru —a prozaicznie mówiąc—korespondent „New Jork Evening Post" — nie bawi się ani w historjozofję, ani w filozofję społeczną. O ile stać go na syntezę i uogólnienia, jako owoc jego podróży sprawozdawczej, o tyle wypowiedział się w przedmowie, która w trafnym skrócie charakteryzuje rzeczywistość niemiecką, w polu widzenia dostępnem amerykańskim okularom. (Gdy się ogląda świat przez okulary Jankesa, lub sowieckiego marksisty, dochodzi się do koszmarnego świadczenia, że wszechświat, wraz ze swoimi biljonami słońc i planet i ze swoją niepojętością metafizyczną powstał czy też został stworzony przez Boga, dla przemysłu i handlu, dla kredytów krótkoterminowych, walut, cedut giełdowych i dewiz, dla racjonalizacji pracy i socjalizacji środków produkcji: import i eksport, bilans handlowy i stawki celne, to — z tego punktu widzenia — jedyny godny uwagi problemat kosmiczny).

3 MILJARDY DOLARÓW.

Powiedziałem, że Knickerbocker nie bawi się w historjozofję. Nie znaczy to, by nie usiłował wniknąć w rdzeń rzeczywistości niemieckiej, oraz by przyszłe losy Niemiec nie obchodziły go wcale. Ten człowiek interesuje się tem bardzo. Jego dziennik płaci mu przecież właśnie poto, by się interesował. Ale idzie tu poprostu, o 3 miljardy dolarów, o dobre, uczciwe amerykańskie pieniądze, ulokowane nieopatrznie w Niemczech pomiędzy rokiem 1924 a 1929.

Autor przyznaje się do tego całkiem cynicznie. W sztuce amerykańskiej „Bronx-Ekspress" pewien stary żyd, mieszkaniec przedmieścia Nowego Jorku, posłyszawszy lub przeczytawszy cokolwiek — zapytuje uporczywie: „A czy to dobre dla żydów?". Podobnie pytają przez usta Knickerbockera te niespokojne, amerykańskie 3 miljardy dolarów.

„Czy to dobre dla naszych dolarów?" — rozmyśla Jankes zwiedzając olbrzymie niemieckie zakłady przemysłowe. „Czy to dobre dla naszych dolarów?" — pyta, słysząc wrzask tysiącznej rzeszy w berlińskim cyrku: „Heil Hitler!". „Co będzie z naszemi dolarami?" — indaguje Hitlera i Oswalda Spenglera, właściciela Zakładów Kruppa dra Bohlena i przemysłowca Reuscha z Zagłębia Ruhry. „Co na to nasze dolary" — zastanawia się przebrany w łachmany włóczęgi, podpatrując ponurą nędzę niemieckich bezrobotnych i zaglądając im do garnków, by zanotować dokładnie, co i jak jedzą i jakie jest ich ogólne samopoczucie po chlebie, wodzie i kartoflach.

Knickerbocker martwi się, że kilka miljonów Niemców nie stać na kufel piwa, bo przecież Niemiec bez piwa... cierpi nadmiernie; może nie zechce płacić długów zagranicznych. Gniewa się, że za amerykańskie dolary zbudowano za wiele domów; kraj, który przegrał wojnę i jest w nędzy, nie powinien budować 2,500,000 nowych, luksusowych mieszkań w modernstylu. Natomiast pochwala olbrzymie lokaty kapitału na 21-miesięczny kredyt, w zamówieniach sowieckich: Rosjanie płacą Niemcom punktualnie (jak dotąd!), a to pomaga w spłacie zobowiązań zagranicznych.

Jedno w tem wszystkiem jest pożyteczne. Knickerbocker usilnie namawia swych ziomków, by raz już skończyli z tem swojem pogardliwem desinteressement w stosunku do Europy. Nie można tak. Musimy się interesować. Przecież w samem centrum tej przeklętej części świata ulokowaliśmy 3 miljardy dolarów. A to jeszcze nie wszystko. Krach Niemiec odbije się na ich sąsiadach, a tam też leży 1 miljard amerykańskich dolarów. Do tego trzeba dodać 5 miljardów długów aljanckich, które mogłaby zanulować lada zawierucha europejska na wypadk dojścia do władzy w Niemczech hitleryzmu lub komunizmu. Jednem słowem, 10 miljard. dol., to nie fraszka (tu następują obliczenia, jaki ciężar zainteresowania Europą przypada z tego tytułu na głowę jednego obywatela amerykańskiego... Tam ludzie są szczęśliwi, problematy wszechludzkie są w ich polu widzenia bardzo uproszczone i łatwo wymierne. Jankes obliczyłby bez zająknienia nawet koszt jednej duszy ludzkiej, przeciętnej, standaryzowanej duszy w dobrym gatunku).

Okazuje się, że Hitler nie jest wcale taki głupi. On się też zna na dolarach. W rozmowie z Knickerbockerem przyznał się on, że właściwie Niemcy mogłyby nie płacić prywatnych długów amerykańskich, bo pożyczki te, jako zaciągnięte pośrednio na spłatę reparacyj, są właściwie wymuszone. Ale lepiej płacić, bo te 3 miljardy zachęcają Amerykę do bliższego zainteresowania się losem Niemiec. Gdyby tak Francja — broń Boże — postanowiła okupować Niemcy nie chcące płacić, wuj Sam musiałby zainterwenjować w ich obronie w całym majestacie swej potęgi. (Bo okupacja, to krach waluty — a wtedy djabli biorą 3 miljardy).

GŁÓD I ZBYTEK.

Niemcy współczesne są krajem kontrastów. Dlatego to podróż wywiadowcza dziennikarza amerykańskiego robi niekiedy wrażenie błąkania się po dżungli tajemnic. Skomunizowane miasteczko Falkenstein popadające w ekstazę religijną jest może najlepszym symbolem tych zawiłości niemieckich. Ale kontrasty występują najjaskrawiej w dziedzinie życia gospodarczego. „Nie narażając się dziś na zarzut uprzedzenia, można powiedzieć, że Niemcy są dziś pod względem przemysłowym największą potęgą, że pod względem finansowym są krajem najbardziej niepewnym, pod względem politycznym — najbardziej rozdartym, a pod względem społecznym są jak beczka z prochem, którą lada iskra może rozsadzić". „56% handlu wszechświatowego przypada na Europę. Prawie 51% europejskiego handlu zagranicznego znajduje się w rękach niemieckich". Ale zaraz po tych stwierdzeniach powstaje pytanie: „Jak daleko sięga zubożenie Niemiec?". Jak to pogodzić?

Knickerbocker stwierdza, na podstawie bardzo dokładnych danych statystycznych, że około 15 miljonów Niemców... nie dojada t. j. prawie głoduje. Nic dziwnego, skoro „największa potęga przemysłowa" ma 5½ milj. bezrobotnych, żyjących z zasiłku rządowego; wyrazem tego smutnego stanu rzeczy jest fakt, że Berlin dał w r. 1930 przy wyborach 739,235 głosów komunistycznych.

Głód jest nietylko w Berlinie. Obrazki z „saskiej Syberji" są bardzo ponure. W Falkenstein ludzie jedzą od wielu lat chleb i kartofle, nic więcej. Ale w Turyngji jest znacznie gorzej. „Tam jest 50% bezrobotnych, tu we wsiach Turyngji przeszło 90%. Tam rodzina z 8 głów pobiera 4 marki zasiłku dziennie, tu są rodziny, w których na 8 osób przypada zasiłek, wynoszący 1½ marki. Falkenstein może się obawiać większego jeszcze głodu. Wsie Turyngji cierpią już taki głód, że mogą oczekiwać tylko śmierci".

Fehrenbach, 170 rodzin pobiera tu regularny zasiłek, reszta, 106 rodzin jest w gorszem położeniu, straciła bowiem prawo do zasiłku państwowego i żyje z opieki społecznej; daje to 24 fenigi dziennie na rodzinę z 4-ech osób.

„Jaka tu nędza, można stąd sądzić, że zapomogę tę pobierają wyłącznie osoby nie mające absolutnie żadnych dochodów z innego źródła. Kto ma krowę nie dostaje zapomogi. W całem miasteczku jednak są tylko dwie krowy". Z całej ludności liczącej 1,300 osób, zaledwie 20 ma pracę..." i t. d.

Ale w Berlinie, w śródmieściu, lokale rozrywkowe są pełne. Ludzie mają wypchane portfele. „Przez godzinę chodziłem napróżno od jednego lokalu do drugiego... Ostatecznie zdecydowałem się na miejsce stojące. Ciasno było jak w wagonie kolei podziemnej... Strzelały korki od szampana. Ze wszystkich stron wołano na kelnerów, którzy biegali jak szaleni ze srebrnemi kubełkami lodu w rękach". „We wszystkich pięciu ulicach, zbiegających się przy Kaiser-Wilhelm-Gedächtnis Kirche, z każdego niemal domu rozlegają się dźwięki rumby, zadając kłam głuchej wieści, że w tym najlepszym ze światów nie wszystkim dobrze się powodzi". Berlin dzierży prym w rozpuście. Babilon znajduje się teraz nad Sprewą. „Berlin nie ma wprawdzie tolerowanych urzędownie domów rozpusty, ale zbyt wielki musiałby być przewodnik, któryby opisywał wszystkie 160 barów, lokalów z kabaretami i pałaców tańca, w których zarówno goście jak i aktorzy, tancerze i wogóle wszyscy znajdują przyjemność w przebieraniu się w ubranie płci przeciwnej".

„Przyłączyłem się do tłumu przed restauracją „Haus Vaterland" na placu Poczdamskim. Tłum liczył kilkaset osób i powoli posuwał się ku wejściu... Wstęp kosztuje markę. Kto chce tańczyć, płaci jeszcze trzy marki. Wszystkie miejsca zajęte, aż do ostatniego. Przez szerokie schody i korytarze ledwie przejść można". „W „Delphi" tańczy 500 par... „Femina" na Nürnbergstrasse mieści też 500 par tancerzy... W „Resi" jest również 1,000 tancerzy, wirujących w różnobarwnem świetle obracającej się kuli kryształowej przy dźwiękach kapeli damskiej".

„OLBRZYM W ŁAŃCUCHACH".

Knickerbocker rozmawia z Hitlerem. Na stoliku obok stoi figura, olbrzym w łańcuchach, będący allegorją Niemiec współczesnych. Jest to istotnie trafny skrót prawdziwej sytuacji, o ile te „łańcuchy" nie brzmią zbyt przesadnie.

Charakterystycznym rysem książki Knickerbockera — znamiennym przedewszystkiem dlatego, że ten Jankes przyzwyczajony jest chyba do ogromu i rozmachu w swej ojczyźnie — jest podziw dla energji potencjalnej Niemiec, która, jakkolwiek utajona, bucha jednak przez wszystkie pory tego organizmu gospodarczego. Amerykaninowi imponują cyfry statystyczne, zakłady przemysłowe, modernizacja pracy, dyscyplina finansowa. „Nic podobnego niema na świecie" — słyszymy raz po raz z jego ust. „Nawet w Ameryce" (to już ważne, a dla nas niepokojące!).

Oto zakłady chemiczne w Leuna, największe na świecie. „Kompleks budynków fabrycznych zakładów w Leuna zajmuje przestrzeń prawie 5 kilometrów długości. Nad 600 budynkami wystrzela w górę 13 kominów wyższych nad 100 metrów". „Zakłady zwiedzaliśmy w samochodzie. Piechotą chodzić tam niepodobna, jeżeli się niema przed sobą tygodnia czasu. Siedzieliśmy w otwartym samochodzie i budynki nieskończonym szeregiem mijały nas jak cienie... Były tam budynki, których objechanie dokoła wymagało 10 minut".

W ostatnich latach „chemiczne produkty niemieckie znów zalały rynki całego świata. Ich ilość, jakość, nowość i taniość były tak nadzwyczajne, że w ciągu kilku lat prześcignęły one i wypchnęły z rynków eksport amerykański. W r. 1929 wywóz chemikaljów niemieckich przedstawiał wartość 327 miljonów dolarów, a wywóz amerykański tylko 232 miljonów.. Skoro to było możliwe w kraju zwyciężonym, to do czego zdolny będzie ten kraj, gdy kiedyś, jak mówi Hitler, zrzuci kajdany?".

„Według obliczeń samej I. G. (trust chemiczny Leuna) jeden tylko z jej wynalazków pozwala wprowadzić do aktywów bilansu płatniczego Niemiec pozycję tak wielką, że całe państwo mogłoby tem opłacić całkowite odszkodowanie wojenne, oraz procenty i raty amortyzacyjne prywatnych długów zagranicznych".

„Zakłady w Leuna w każdym razie dobitnie dowodzą, że Niemcy mają tak olbrzymi zapas utajonej w chwili obecnej siły gospodarczej, iż wydaje się zgoła nieprawdopodobnem, ażeby ten kraj przejściowo nawet mógł zrezygnować z czołowego stanowiska na jakiem stał w Europie przed wojną... W epoce przemysłowej, w której żyjemy, potęga militarna jest odbiciem potęgi przemysłowej kraju. Kto zwiedza Niemcy teraz w czasie tej najcięższej zimy, na tego największe wrażenie wywiera nie obecna słabość tego kraju, lecz jego siły utajone".

„Nadwyżka eksportowa Niemiec w r. 1931 wyniosła znacznie więcej niż 2½ miljarda marek, czyli 600 milj. dolarów". Wprawdzie przyczyniło się do tego zmniejszenie importu, ale Knickerbocker stwierdza, że plus minus Niemcy są dziś największą potęgą eksportową świata, większą nawet od Ameryki (od Anglji zaś o całe 56%).

Ta nadwyżka eksportowa w r. 1931 „jest to cyfra rekordowa w historji Niemiec". W tym samym roku spłaciły Niemcy 1,200 milj. dol. wierzytelności prywatnych. A oszczędności narodowe? „Bank Kredytowy Rzeszy podaje jako cyfrę oszczędności w roku 1925—6,400 milj. marek, w roku 1926 — 6,300; w roku 1927 — 7,600... Cyfry dla roku 1928 i dla dalszych nie były ogłaszane...", a to z powodu raportu Parkera Gilberta, agenta reparacyjnego. „Cyfry oszczędności narodowych dowodziły, że państwo mimo spłacania odszkodowań, corocznie kapitalizuje sumę, pięć razy wyższą od raty odszkodowań, przewidzianej przez plan Davesa. Fakt ten przeczył stanowczo twierdzeniu, że Niemcy padły w ostateczną nędzę wskutek spłacania odszkodowań". Ale inne, nieurzędowe źródło niemieckie podaje te zatajone cyfry. W r. 1928 oszczędności wyniosły 9,000 milj. marek, w r. 1929 — 7,500 miljonów, w r. 1930 — 6,000 milj. W r. 1931, po krachu bankowym oszczędności ustały ze zrozumiałych powodów. Co do samego krachu, to był on — jak wiadomo — nie załamaniem się gospodarczem Niemiec, lecz wynikiem niezłomnego, koncentrycznego ataku Francji na banki austryjackie i niemieckie, dla przeciwdziałania austro-niemieckiej unji celnej.

CZTERY ARMJE PLUS JEDNA.

Ten kraj o tak zadziwiającym potencjale energji jest równocześnie cały podminowany dynamitem nienawiści społecznej. Wszystkie stronnictwa i „obozy wojenne" w Niemczech (trudno inaczej nazwać hitleryzm, Reichsbanner i t. p.) jednoczą się tam, gdzie mowa o zerwaniu więzów nałożonych przez traktat wersalski; wszystkie też zaprzeczają winie Niemiec w sprawie wybuchu wojny i mają „niezłomną wolę" niepłacenia odszkodowań. Ale już poglądy ich na sposób zrywania tych więzów są różne.

A cóż mówić o innych przeciwieństwach natury politycznej i społecznej.

Przeszło połowa Niemiec znajduje się w dwu wrogich obozach: komunistycznej gwiazdy i hitlerowskiej swatystyki. Ale to jeszcze nie wszystko. Istnieje przecież potężna organizacja republikańska, Reichsbanner i zachowawcza, Stahlhelm. Prawdziwa, oficjalna armja Niemiec, Reichswehra, przewyższa te organizacje tylko wyekwipowaniem bojowem i uzbrojeniem; liczebnie tonie w ich morzu. Oprócz niej są w Niemczech aż cztery armje, liczące w swych szeregach setki tysięcy karnych, zdyscyplinowanych i ożywionych żądzą walki osobników. Duch wojenny żyje w tym kraju. Knickerbocker pisze, że walka zbrojna jest marzeniem młodzieży niemieckiej.

Cztery armje. Front każdej z nich wymierzony jest przeciwko trzem pozostałym. Jeden Stahlhelm żywi niejakie sympatje dla Hitlera. Ale Reichsbanner nienawidzi Hitlera i komunistów, komuniści mają przeciw sobie Reichsbanner, Stahlhelm i hitlerowców, ci zaś... itd. Czy grozi to wojną domową? Niewątpliwie. Wojna domowa toczy się właściwie w Niemczech od lat kilku, nie rozbijając mimo to ładu i spoistości organizacyjnej państwa. Zapewne nigdzie indziej nie byłoby to możliwe.

Dyscyplina i pedantyczność niemiecka sprawia, że sytuacja „przed - rewolucyjna" wygląda tam zupełnie inaczej niż w Rosji. Tam 30.000 bolszewików zrobiło przewrót w 130 - miljonowym kraju: tu 6 miljonów komunistów ma małe a jak dotąd prawie żadne, szanse zwycięstwa. Przeciwnicy ich są tak zorganizowani, że „Nazi" (hitlerowcy) mają np. swój Bank ubezpieczeniowy, dla ofiar walk ulicznych: regularne wpłacanie wkładek zabezpiecza bojowca na wypadek kalectwa, a rodzinę w razie jego śmierci. Należy sądzić, że po spuszczeniu naprawdę ze smyczy takich czterech armij, nastąpiłoby w Niemczech iście apokaliptyczne widowisko.

„Każda z czterech organizacyj, liczących ogółem 5 miljonów ludzi, ma własną rozgałęzioną sieć służby wywiadowczej, informującej o ruchach przeciwnika. Każda jest przygotowana do powołania w jaknajkrótszym czasie swoich członków pod broń w razie alarmu, do obsadzenia punktów strategicznych i do spełnienia dzieła walki bratobójczej w sposób jaknajdoskonalszy". Wbrew temu, co się powszechnie mniema, organizacja republikańska Reichsbanner, jest najsilniejsza ze wszystkich, zwłaszcza po wstąpieniu do niej miljona członków związków zawodowych. „Jeden z przywódców zapewniał mnie, że jeżeli Reichswehra i policja nie wyjdą z koszar przez 24 godzin, to Reichsbanner załatwi się sam zarówno z socjalistami narodowymi, jak z komunistami".

Mimoto Hitler wysuwa się na czoło. Organizacja jego rośnie w najszybszem tempie dzięki zdolnościom demagogicznym swego wodza i radykalizmowi obietnic. Oto, czego spodziewają się zwolennicy Hitlera po swoim wodzu:

„A. Polityka zagraniczna.

1) Hitler potarga traktat wersalski.

2) Hitler odeśle Francuzów po haracz do piekła.

3) Hitler przywróci powszechny obowiązek służby wojskowej i odbuduje dawną armję niemiecką w rozmiarach conajmniej 600.000 ludzi.

4) Francuzi nie będą śmieli nic przedsięwziąć przeciw nam. Gdyby jednak odważyli się na próbę obsadzenia Nadrenji, to wyrzucimy ich stamtąd.

5) Hitler odbierze korytarz polski, polską część Górnego Śląska i nasze kolonje: jeżeli Francja będzie grzeczna, to dostanie Alzację i Lotaryngję.

B. Polityka wewnętrzna.

1) Hitler zniesie republikę.

2) Hitler da pracę wszystkim bezrobotnym.

3) Hitler rozwiąże partję komunistyczną.

4) Hitler wypędzi Żydów z Niemiec.

5) Hitler stworzy Niemcy dla Niemców..."

Komuniści liczą, że Hitler nie będzie mógł spełnić tych zapowiedzi. A wtedy... oszalałe z gniewu i rozpaczy Niemcy, będą jak dobrze zasłużony kąsek, który wpadnie w niesytą, czerwoną paszczę bestji z Kremlu.

J. Braun.

Prosimy P. T. Abonentów o odnowienie prenumeraty za 2-gi kwartał. Nr. konta P. K. O. Warszawa 153,210.

Wykrętny obrońca

W n-rze 7-mym „Zetu" w artykule pt. „Wielkość na kredyt" podjął Jerzy Braun spokojną i rzeczową dyskusję z obrońcą Miriama p. Zaniewickim. Nie byłby niezawodnie się trudził, gdyby sobie zdawał sprawę, z kim ma do czynienia. Nowy występ publiczny p. Zaniewickiego w „Dniu Polskim" p. t. „Winkelriedowi w odpowiedzi", wykazał dosadnie, że dyskusję zamieniono w nieprzyzwoite pieniaczenie się, w którem utonąć musi zarówno zdrowy sens, jak sama prawda. Dlatego Jerzy Braun nie będzie już w tej sprawie głosu zabierał.

Na tem miejscu wypowiadamy parę koniecznych uwag na temat powyższego wystąpienia.

P. Zaniewicki, zapewne siwobrody staruszek (nie chcemy wierzyć zapewnieniom osób postronnych, że jest to tylko pewny siebie młodzieniec) nazywa Brauna protekcjonalnie „młodym literatem", „początkującym literatem", oczywiście w tym celu, by uwydatnić różnicę pomiędzy „zuchwałym młodzikiem", a czcigodnym starcem Miriamem. Lepiejby tego nie czynił, bo a nuż się okaże, — przy ścisłym rachunku statystycznym — że ten „początkujący" więcej w swem życiu przestudjował i napisał, zarówno w zakresie twórczości literackiej, jak i na temat samejże filozofji Wrońskiego, jak ten „kończący". A wtedy byłby wstyd i przykrość.

Mimo odrazy do zbyt mocnych określeń, trudno nam nie nazwać bezczelnością imputowania Braunowi przez kompletnego laika w tych sprawach, że „nie orjentuje się zupełnie w spuściźnie po Hoene-Wrońskim" itd. Musimy na to odpowiedzieć temu panu jego własnem zdaniem, skierowanem do Brauna: „Wara do zabierania głosu w sprawach, o których nie ma pan najmniejszego pojęcia!" Równie bezczelne jest zarzucanie uczciwemu człowiekowi, występującemu w interesie sprawy publicznej, że robi sobie z niej „pole do popisów i autoreklamy". Uprawnia nas to do zrobienia uwagi, że w stosunku do nazwiska p. Zaniewickiego nazwisko Brauna reklamy już nie potrzebuje; dlatego to raczej p. Z. jako osobnik niczem nie zasłużony i nieznany, budzi podejrzenia, że robi dokoła siebie hałas, by wywindować się na usłużnej obronie patentowanej wielkości.

Braun nie mylił się, jak widać, pisząc o gnieździe smoczem, czy wężowem. Chytra perfidja pupila, czy wychowanka Miriamowego wywołuje odrażające wrażenie. W odpowiedzi jego cały tekst i sens artykułu „Wielkość na kredyt" przekręcony jest do góry nogami. Napiętnować musimy przedewszystkiem kłamliwe twierdzenie, jakoby Braun „odwołał" swoje poprzednie zarzuty; jeżeli p. Zaniewicki nie zrozumiał, co Braun miał na myśli, poruszając sprawę subsydjów udzielanych Miriamowi, to niech sobie raz jeszcze przeczyta jego artykuł, porządnie, z góry do dołu.

Czy wielkie słowa, jak „naród", „wszechludzkie idee" i t. d., któremi Braun „żongluje", nie są napełnione „żadną własną treścią" — o tem nie godzi się wydawać sąd p. Zaniewickiemu. Gorzej, że on sam żongluje słowami, za które odpowie kiedyś przed opinją publiczną; zakwalifikowanie wystąpień Brauna w sprawie Wrońskiego, jako „trącących karczmą napaści" należy do nich w pierwszym rzędzie.

Aby sprostować jeszcze jedno kłamstwo, przypominamy, że Braun nie siebie porównał do rycerza Zawiszy, lecz prawdę. Ale p. Zaniewicki wolał to wziąć w innem znaczeniu, bo dla niego widocznie zasady takie, jak prawda i dobro są tylko abstrakcyjnemi pojęciami. Nic dziwnego, że mentalność jego doszukuje się wszędzie tylko brzydkich, egoistycznych intencyj. „Wsiakij mierit swoim arszinom!" Ale wbrew mniemaniom pp. Zaniewickich są jeszcze na świecie ludzie, dla których prawda i dobro są sprawą życia, a nie pustą abstrakcją. Ci będą nadal walczyć o dobro, a trzymać się wiernie prawdy, choćby stu urągaczy obryzgiwało ich błotem w opinji publicznej.

Na zakończenie trzeba wyrazić zdumienie, że obrońca Miriama pozwala sobie tak arogancko mydlić oczy społeczeństwu polskiemu. Nietylko nie uważa on za stosowne choćby jednem zdaniem usprawiedliwić niepokojącą bezczynność Miriama, ale gotów jeszcze wmawiać światu, że to jest właśnie tytuł do jego chwały. Milczcie wszyscy, oto starzec siedzi nad księgą! Czołgajcie się na kolanach, oczekujcie z zapartym oddechem... Może piśnie choć słówko i nakarmi łaskawie zgłodniałe rzesze. Wielki dobroczyńca „narodu i ludzkości". Myśliciele piszcie monografje o przedziwnych odkryciach Milczącego Filozofa, który nigdy wam nie powie, co odkrył. Literaci piszcie biografje o wielkim biografie Wrońskiego (in spe!). Ciała naukowe, instytucje publiczne, wieńczcie go zaszczytami, obierzcie go swym prezesem, bo spełnił on czyn „nie mający w dziejach naszych przykładu, ani nawet podobieństwa". (Istotnie, taka „wielkość na kredyt" jest bezprzykładną w dziejach).

Dlaczego Tytan milczy? P. Zaniewicki odpowiada na to w sposób, będący godnem ukoronowaniem całego bluffu. „Może widzi np., iż społeczeństwo dzisiejsze i czasy, które przeżywamy, nie odpowiadają do wielkiego posiewu myśli Wrońskiego? Naród — to nie jedno tylko pokolenie!"

Tu już bluff przekracza miarę. Nie, kochani panowie! Wiedzy się nie konspiruje. „Prawdę trzeba głosić z dachu!" Porównanie Miriama z wiatrakiem jest tylko w jednej części prawdziwe: „Słychać trajkotanie wiatraka, ale mąki nie widać" (przysłowie arabskie).

REDAKCJA: Warszawa — Jerzy Braun, Inżynierska 7 m. 30. **Telefon 10 - 20 - 58.** **Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.**

ADMINISTRACJA: Warszawa, Inżynierska 7 m. 30. Tel. 10-20-58. Konto P. K. O. 153.210. **Lwów: Józef Radzimiński, Strzała 8. Tel. 40-35.**

Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.